57/50
+4

2~~1~~ zesz. 4.

Le mie prigioni II.

Wieki średnie były w swojej ludzkości demokratyczniejsze. Król potwierdzał wyrok śmierci, a sędziowie, którzy go wydali, okazywali przez swoje zachowanie się, że ~~dla~~ wprawdzie uznają za konieczne zgładzenie jednostki dla dobra całości, ale zarządzając ten oportunistyczny akt, oni jako ludzie czują, że właściwie popełniają jakiś gwałt przeciw naturze, bo odbierają życie człowiekowi, majęcemu te same prawa do egzystencyi co oni – że ludzie odbierają drugiemu człowiekowi to, czego mu nie dali i zwrócić nie mogą. Była w tem ludzkość, wstyd, nadzwyczajność.

Dziś przystępuje się do tracenia ludzi, niewygodnych większości, zwanej społeczeństwem, z kupieckim rachunkiem i zmysłem niszczenia jak do wygubienia szczurów czy wytępienia karakonów. Trując owad, nie myśli się o jego uczuciach, prawach do życia, ani o swojem uprawnieniu do odbierania tego życia.

Urządzono życie maszynowo. Sędziowie nie doznają wzruszeń przy wydawaniu wyroków śmierci, bo załatwiają tylko kawałek biurokratyczny w myśl paragrafu – komendant, mający władzę zatwierdzić wyrok lub ułaskawić, podpisuje, bo wyszła wskazówka, że dla takich przekroczeń nie powinno się mieć pobłażania – zarząd więzienia wykonywa egzekucyę, bo przyszedł taki rozkaz. Nikt nie czuje się odpowiedzialnym za człowieka, nikt nie myśli o jego rodzinie, bo to nie jego resort. Przez rozdział postępowania na fazy i oddziały, zginął ten, kto świadomie w imię wyższej potrzeby bierze na swoje sumienie śmierć człowieka. Komendant, któremu na czas wojny oddano prawo życia i śmierci, kary i łaski, dostaje ciągle papierowe wskazówki, w jakich sprawach ma być nieubłaganym i dlatego ze spokojem czystego sumienia podpisuje wyroki śmierci tak samo jak legitymacye kolejowe. Chodzi o to, czy forma się zgadza. Zaś wiedeńscy panowie, dający wskazówki, nie widzieli egzekucyi i trawią oraz śpią spokojnie, kiedy na

skutek ich poleceń człowiek, co się do ostatniej chwili cieszył nadzieją, idzie w rozpaczy pod stryczek, a jego rodzina za murem traci przytomność wskutek salwy.

W średnich wiekach tak wielką wagę przykładano do życia człowieka, że nadzwyczajność przy egzekucyi uchodziła za palec boży, za cud i ratowała człowieka spod stryczka. Gdy się stryczek urwał, gdy topór źle trafił, darowano życie człowiekowi, w niepewności o trafność sprawiedliwości ludzkiej. Dziś inaczej. Opowiadano o wypadku, gdzie wszystkie cztery kule zraniwszy skazańca, nie zniszczyły jego nerwu życia – wtedy oficer, dowodzący konwojem egzekucyjnym, przyłożył rewolwer ~~sk~~ zranionemu do piersi i przestrzeliwszy serce, dokończył nieszczęśliwego. Nic dziwnego, bo miał rozkaz wykonania egzekucyi.

Było i więcej wstydu za dawnych czasów. Chociaż pozbycie się człowieka szkodliwego uważano za konieczne, nie dopuszczano, żeby obywatel podejmował się tego dzieła. Do tego celu trzymano katów, odosobnionych od ludzi, pogardzanych, otoczonych legendą i poezyą grozy.

Dziś wybiera się do tego celu czterech żołnierzy z oddziału, pełniącego służbę w więzieniu, ojców rodzin, mężów, synów najuczciwszej, najspokojniejszej rodziny, może do różańca i innych bractw należących.

Myślałem z początku, że czyni się tym ludziom gwałt, że najspokojniejszych chleborobów zmusza się rozkazem do rzemiosła katowskiego i miałem ochotę podnieść okropny krzyk w parlamencie. Nieprawda! Widziałem, kiedy odkomenderowano pluton do egzekucyi, jak oficer wyznaczał strzelców, a tymczasem spomiędzy pominiętych zgłosiło się kilku z krzykiem: „Panie

lejtont, ja już strzelałem, ja będę." I na to pchanie się dobrowolne do katowskiego rzemiosła zabrakło mi wyrazów – uczułem się jak ~~gnis~~ geniusz ~~Rafael~~ grottgerowski, który na widok bezbrzeżnej ohydy zarzuca zasłonę na twarz, aby nie widzieć.

Toż ten dobrowolny kat ma w domu żonę, małe dzieci – jak może dać niewinnym dzieciętom do pocałowania rękę, która bliźniego bezbronnego zabiła!?

Wprawdzie on się nie czuje winnym, bo właściwie zabija prawo. Ale on się prawu na oprawcę narzuca i morduje człowieka, któ= rego nie zna, zbrodni jego nie zbadał, urazy osobistej do niego nie ma. Jakaż przepastna otchłań zwyrodnienia jest w tym niby niewinnym człowieku, gdy go strzelanie na bezbronnego skazańca kusi niby wyprawa kłusownicza!

Na miejsce Boga i człowieka średnich wieków postawiono prawo i społeczeństwo. Prawo i wolę społeczeństwa tłumaczą stare pryki hemoroidalne za zielonym stolikiem, między odgłosem czkawki a łykiem francuskich ziółek. Zmaszynowano wszystko tak, że człowiek o normalnem ludzkiem uczuciu, widzi się waryatem w tej zbieraninie, zasługującym na kulę lub pobyt u czubków. I to potem nazywa się kulturą i postępem. Wolę czasy jaskiniowe niż taki postęp.

Najbardziej nieludzkim i twardym szczegółem jest dzisiaj bezna= dziejność. Za dawnych czasów skazaniec uciekł do świątyni, a lud niejednokrotnie ułaskawiał go mimo wyroku władz – panna zu= cała na skazańca zasłonę na znak, że go bierze za męża – westalka poświęcała się dla niego – ptaki złowróżbne przerywały tracenie – stryczek się urywał, pękł się topór: jednem słowem w ostatniej chwili zdarzał się wypadek nieprzewidziany, cud i oto skazaniec

został uratowany już w chwili tracenia. Było to niezwykle ludzkie urządzenie w czasach pogańskich i średniowiecznych, zwanych barbaryńskimi. Społeczeństwo, które je zaprowadziło u siebie, stawiało się po ludzku w położeniu skazańca i zostawiało mu nadzieję do ostatniej chwili. Kiedy kat wznosił już topór do cięcia, jeszcze skazaniec miał nadzieję. Konał z nadzieją, a egzekucya nie dawała mu już czasu na przejście od nadziei do rozpaczy.

W tych urządzeniach stwierdzały dawne społeczeństwa, że ponad własną wygodę i własny interes, unormowany prawami, stawiają jakieś wyższe pojęcie sprawiedliwości niewzruszonej, nadludzkiej, wobec której ludzka sprawiedliwość może się okazać gwałtem i bezprawiem.

Do odbierania człowiekowi życia przystępowano ze zgrozą i strachem. Wyczuwa się w tych urządzeniach powagę, nabożeństwo, skupienie się, jakiś lęk jak przed tajemnicą wiecznie zakrytą, jak przed świętokradztwem. Owe epoki wyznają, że jeżeli odbierają życie człowiekowi, to dla własnego tylko bezpieczeństwa puszczają się na bezprawie wobec Stwórcy, który powiedział: nie zabijaj! I dla tego zostawiały sobie i skazańcowi nadzieję do ostatniej chwili.

Dzisiaj zupełnie inaczej. Odebranie życia człowiekowi nie kosztuje więcej zachodu jak zabicie rzeźnego bydlęcia. Zbiorowość nie czuje wszechobecności jakiegoś wyższego porządku, jakiejś absolutnej sprawiedliwości, wobec której ona przywłaszcza sobie tylko prawo do zabijania człowieka, ale go w istocie nie ma. Zbiorowość nie odczuwa tego, że

poświęca wyższą zasadę dla własnej wygody czy obrony, że ze stanowiska zasadniczego zniża się do oportunizmu i jest za to obniżenie ideału odpowiedzialną wobec Boga, natury, czy wyższego porządku świata czy też choćby wobec czystej ludzkości.

Zasady moralne, w imię których dziś zabija się ludzi, możnaby ująć dla prostoty w następujące krótkie zagadnienia na wzór Katechizmu:

– Co jest zbrodnią?

– Zbrodnią jest uczynek lub słowo, które ~~kilk~~ czterech, przypadkowo złączonych w trybunał oficerów uzna za zbrodnię na podstawie wskazówek, wypracowanych przez ministerstwo.

– Po co zabija się człowieka?

– Dla pożytku społeczeństwa.

– Co jest pożytkiem społeczeństwa?

– To, co kilku przypadkowo do rządu powołanych panów uznaje za pożytek.

Są to wygodne punkta wyjścia dla kilku panów, którzy siebie uważają za społeczeństwo i za państwo. Stąd dziś krytykowanie rządu jest przez wielu ludzi uważane za zdradę główną.

A gdy już kogo trybunał, złożony ze czterech oficerów, zasądził na śmierć, a komendant wyrok podpisał, przepadło wszystko. Nie można uciec się do łaski monarszej, bo między podpisaniem wyroku, a jego wykonaniem upływa tylko dwie godziny czasu, a to nie wystarcza, żeby człowiek czy pismo dostały się do cesarza i sprowadziły jego łaskę. Lud żaden egzekucyi nie wstrzyma, bo rzecz odbywa się po cichu, za murami, pod strażą.

Dawniej wykonywano wyroki publicznie i uważano, że widok egzekucyi odstrasza ludzi od popadnięcia w tę samą zbrodnię. Skoro raz zdecydowano się zabić człowieka, chciano z tego okropnego aktu wyciągnąć jak najwięcej korzyści dla społeczeń=

stwa, a nie tylko uratować je przed szkodnikiem. Dziś załatwia się zaś potajemnie, po cichu tak jak bez ceremonii ukręca się kurze łeb na boku w kojcu. Rezygnuje się z wrażenia odstraszającego i pouczającego dla innych, tak jakgdyby pożądano mieć ofiar jak najwięcej. Możnaby powiedzieć, że dzisiejsza egzekucya nie jest traceniem, tylko uprzątaniem człowieka, którego się uznało szkodliwym.

Z chwilą ogłoszenia skazańcowi wyroku odbiera mu się wszelką nadzieję. Pamiętam jak skazany żyd z Tęgoborza Abraham Schimmel płakał, jęczał, pod nogi podejmował żołnierzy tak w celi jak podczas pochodu na miejsce tracenia, ale wywołał tylko śmiech przez swoje niezwyczajne gesta i słowa, a Feldwebel, zawiązując mu oczy, zgromił go ostro za przewlekanie niepotrzebne egzekucyi. Celem bowiem jest gładkie i szybkie przeprowadzenie rozkazu.

Z początkiem sierpnia jakiś silny skazaniec wyczuł i bronił się w celi jak lew, gdy go przyszli wyprowadzać. Odkomenderowano żołnierzy, którzy go obalili na podłogę, zakneblowali usta aż do duszenia, skuli ręce i nogi i ~~wlekli~~ nieśli na drągu we środku tę niekształtną masę pod słupek, masę, która przecież nie przestała być człowiekiem.

Egzekucye w dzisiejszych czasach przestały być wielkim, tragicznym, grozę wywołującym aktem, lecz stały się tylko ohydą i obrzydliwością.

Nie piszę tego z wyraźnem zastosowaniem do ustaw i urządzeń austryackich, choć one dały mi powód do tych uwag.

Wiem bowiem, że we wszystkich nowożytnych państwach urządzenia są takie same. We Francyi jest gorzej jeszcze, bo skazańcowi księdza nie dają i odbierają mu obok nadziei jeszcze możność ostatniej pociechy.

W tych uwagach chodzi mi o zaznaczenie nowożytnego sposobu, o objaśnienie dzisiejszych stosunków, przekonań prawnych i moralnych pobudek, jakie wywołały te urządzenia. I wedle mojego przekonania czasy nowożytne są bardziej nikczemne, bardziej brzydkie i nieludzkie niż jakiekolwiek epoki pogańskie czy barbaryńskie. A tak jesteśmy dumni z postępu, tak się chwalimy cywilizacyjnym dorobkiem i poszanowaniem człowieka.

Te i tym podobne myśli chodziły mi po głowie, kiedym podczas spaceru przechodził koło tego miejsca tracenia. Nadzieja, której nie chciałem mieć, uleciała zupełnie na ten widok. Byłem pewny, że niebawem stanę tam z zawiązanemi oczyma, a potem już nic.

W tej pewności utwierdzały mnie następujące rozważania: Przedewszystkiem ci, którzy na mnie rzucili potwarz tak późno, musieli rozważyć co robią i do czego dążą. Celem ich niezawodnie jest uprzątnięcie przeciwnika politycznego, któremu w otwartej walce politycznej nie dotrzymują kroku. Gdy więc zdecydowali się mnie oczernić, z pewnością mają przynajmniej dwóch ludzi przygotowanych, którzy oszczerstwo potwierdzą fałszywą przysięgą. Dwóch świadków wystarczy, żeby wyrok śmierci sprowadzić i o tych dwóch z pewnością postarali się ci, którzy po czterech miesiącach wojny zdecydowali się na wniesienie denuncyacji.

Kto to może być? Przypuszczałem ciągle, że są to Niemcy z Bielska, ale w porozumieniu z tamtejszymi socyalistami niby to polskimi.

Dopiero niedawno p. Makuch Karol, przedzierzgnięty w tz. Komisarza powiatowego polskich legionów odkomenderował surowo do koszar jednego legionistę, którego w Bystrej zastał przy jednym stole ze mną. Musieli więc Makuchy, Grossy ułożyć rzecz wspólnie z tym jakimś solicytatorem [illegible] w Bielsku i jego przyjaciółmi. Przeszło dwa miesiące siedziałem im na oczach w Białej – mieli więc dosyć czasu na wypracowanie rzeczy we wszelkich szczegółach.

Zarzut, umieszczony w rozkazie Naczelnego Sztabu generalnego, jakobym przez antimonarchiczne motywy był współwinnym w rozwiązaniu legionu wschodniego, wydawał mi się tylko punktem zaczepienia, tymczasowym pozorem, pod którym mam dostać się do więzienia.

Powtóre znałem rozporządzenia dla sądów wojennych i ich wykonywanie. Według mego zapatrywania autorom tych paragrafów dla sądu wojennego przyświecał jeden cel: mianowicie dać władzom wojskowym w rękę moc i narzędzie do jak najliczniejszego mordowania ludzi, celem wywołania terroru.

Wyobrażałem sobie, że rząd austryacki najpierwej i najtężej uwierzył w zagraniczne opowieści o tem, że państwo się rozlatuje, że ludy i ludzie mają dążności odśrodkowe i że wojna musi przynieść koniec państwu. Między sceptykami, niewierzącymi w możność utrzymania się Austryi przy życiu, kładłem na pierwszem miejscu rząd austryacki, który takie okrutne rozporządzenia wypracował.

Wedle tych rozporządzeń pierwsze lepsze nieumyślne, głupie lub pijackie słowo jest karane śmiercią na równi z rzeczywistą zdradą i szpiegostwem. Podważa dla jednego z wrogów państwa,

powątpiewanie w siłę i zwycięstwo Austryi, krytyczna uwaga o kierownictwie armii, należą, wedle tych ~~para~~ rozporządzeń pod paragraf: Hochverrat, öffentliche Ruhestörung albo feindliche Gesinnung dem Staate gegenüber i wszystkie są karane śmiercią.

Najważniejszym zaś dowodem, że niewiara rządu w żywotność państwa była rodzicielką tych rozporządzeń, było wciągnięcie obrazy majestatu pod sądownictwo doraźne. W Niemczech obraza majestatu należy i podczas wojny dalej do sądów cywilnych. Oddanie jej pod sądy doraźne mieści w sobie niebezpieczeństwo dla idei monarchicznej. Toż rodzina człowieka, skazanego na śmierć, już nie za obelżywe odezwanie się o cesarzu, ale za słowa, w których tylko brak „uszanowania winnego monarsze" musi po stracie takiego członka zgrzytać w duszy nietylko na cesarza, ale i na monarchizm jako zasadę rządową. Z tego z pewnością zdawali sobie sprawę ministrowie, którzy układali owe rozporządzenia.

Do tego w Austryi, ~~gdzie cesarz oczywiście jest powierzchownie lubiany,~~ wytworzył się pewien poufały sposób wyrażania się o nim, płynący wprawdzie nieraz z istotnego przywiązania, ale zupełnie pozbawiony szacunku. Otóż stawianie pod sąd doraźny takich wyrażeń, niezawierających szacunku, ale zato płynących z miłości, może wywołać w sercach nienawiść do cesarza, za którego obrazę odbiera się życie i wykorzenić owo powierzchne, przez dziesiątki lat zakorzenione przywiązanie.

Z tego również musieli sobie panowie ministrowie zdawać dokładnie sprawę.

Jeżeli mimo to włożyli w rozporządzenia wojenne takie postanowienie, to widocznie niewiara w spoistość państwa była u nich tak głęboka, że woleli u pewnej części ludzi wykorzenić starodawne przywiązanie do monarchy, a nawet do formy rządu monarchicznej, byleby całość przerazić, zgnębić, sterrory-

rować i postrachem powstrzymać wszelkie odśrodkowe dążności.

A jeżeli celem jest wywołanie postrachu, to moja osoba nadaje się znakomicie do tego celu. Jestem jedynym posłem, znanym przez najszersze masy ludowe tak polskie jak ruskie w całej Galicyi – wystarczy, że mam mandat parlamentarny ze Zbaraża, Tarnopola Kozowy, a sejmowy z Żywca. Moja Kańciasta działalność redaktorska zjednała mi moc przyjaciół, ale i moc zawziętych wrogów – jednakże u jednych i drugich uczyniła moje imię znanem i głośnem.

Gdy ja będę stracony, cała Galicya zrozumie, że tu naprawdę nie ma żartów i moja śmierć może wywołać postrach większy, niż stracenie kopy innych ludzi.

Przez moje stracenie rząd niczego nie ryzykuje. Jestem chłopskim synem, bez pokrewieństw i kuzynostw, któreby w sferach dworskich mogły członkom rządu zgotować nieprzyjemności. Za moją nieprzejednaność miałem między posłami olbrzymią większość wrogów lub niechętnych, którzy o mnie upominać się nie będą, bo i sami zbywają się z karku zmory i wyrzutu sumienia w mojej osobie. Garść moich przyjaciół między posłami musi już stać pod zarzutem zdrady stanu i kto wie, czy niektórzy z nich już także nie siedzą w kozie, gdy inni lękają się wychylić głowę i przypomnieć, że żyją.

Ze strony poselskiej nie potrzebuje więc rząd lękać się trudności za moje stracenie. A ta śmierć jest dla blokowej większości w Kole polskiem, dla socyalistów i Niemców pożądaną.

Skoro zatem dostałem się do więzienia, to z pewnością z góry już jestem skazany na śmierć, a śledztwo ma tylko dostarczyć uzasadnienia dla wyroku, nie jest zaś bynajmniej wszechstronnem badaniem sprawy. Tego byłem pewny więcej niż miesiąc.

Przecież bez namysłu, bez zbadania, bez planu na potem nie aresztowano posła tak jak się aresztuje włóczęgę, aby go nazajutrz wypuścić. Zastosowano do mnie przepisy jak dla najostatniejszego złodzieja – widocznie uważając mnie za przekonanego winowajcę, a nie za podejrzanego tylko. Z pewnością władze nie przewidują, jakobym mógł stąd wyjść cało, bo inaczej przecież dałyby mi i w kozie jakieś udogodnienia bodaj z obawy, żebym później w parlamencie zanadto ich nie napastował. Jestem więc z góry zasądzony i szkoda się łudzić.

Rząd austryacki wykorzystał wojnę, ażeby przywrócić policyjny autokratyzm centralistyczny wedle systemu Metternicha. Po wydaniu wojny Serbom, w chwili tak przełomowej, kiedy rządy dniem i nocą pracują nad utrzymaniem i uzupełnieniem porządku kolejowego i administracyjnego, nad składną mobilizacyą, nad zapełnieniem kas, nad odzieniem i uzbrojeniem wojsk, rząd austryacki uznał te wszystkie kwestye za drugorzędne, bo dla niego najważniejszą i najpilniejszą sprawą było nie przygotowanie zwycięstwa, ale pozbycie się parlamentu. Pierwszym aktem wojennym rządu było zamknięcie rady państwa.

Po co? Parlament był od marca odroczony i posłowie od marca nie posiadali nietykalności. A usunięcie nietykalności jest rzeczywiście podczas wojny potrzebne dla gładkiego i sprężystego funkcyonowania maszyny państwowej. To stało się już na kilka miesięcy przed wybuchem wojny.

Na co więc odroczenie zamieniać na zamknięcie?

Na to, ażeby głos przedstawicielstwa ludowego nie narzucał się rządowi nawet w formie uniżonych przedłożeń surrogatu izby poselskiej, jakim jest jej prezydyum. Ze wszystkich państw prowadzących wojnę, postępowych i zacofanych, w jednej Austryi uznał rząd za pierwszy swój obowiązek pozbyć się parlamentu. W chwilach najcięższych dla państwa, kiedy Moskale ostrzeliwali już Kraków i poszli na Węgry, nie dopuścił rząd nawet do zbiorowego oświadczenia lojalności przez prezydyum izby poselskiej,

oświadczywszy przez usta hr. Stürgkha prezydentom dość prezydentowi i wiceprezydentom, że prezydyum od chwili zamknięcia nie istnieje i że premier mówi z tymi panami jako z osobami prywatnemi, ale wymawia sobie, żeby się nie zbierali w powagę przedstawicielstwa izby poselskiej.

Widoczna więc, że rząd wrócił do metternichowskiego systemu, że mu mniej chodzi o zwycięstwo czy klęskę, o zapał czy niechęć ludności, niż o przeprowadzenie absolutyzmu dawnego, choćby w znacznie okrojonem państwie.

A skoro tak, to leży w interesie kierunku rządowego odzwyczaić i odstraszyć ludność od nawyczek konstytucyjnych. Największym wrogiem absolutyzmu było nasze stronnictwo — w niem zaś najbardziej kanciasto stawiałem ja wszystkie postulaty. Nie ulega zatem wątpliwości, że na postrach i przykład ludziom zostanę zabity, jako graniczník nowego, antikonstytucyjnego kursu w rządzie.

Wprawdzie rzecz nie jest pozbawiona pewnej złośliwej ironii. W Tarnopolu wszyscy mówili jako rzecz pewną, że jestem umieszczony na rosyjskiej liście proskrypcyjnej i jeżeli mnie Rosyanie dostaną w ręce, zostanę powieszony. Przez odjazd w porę uniknąłem rosyjskiej szubienicy, aby w Austryi zostać rozstrzelonym. Ale z tego humorystycznego kontrastu ja już śmiać się nie będę — tylko jakiś przyszły historyk może wyłowi ten uciesszny szczegół.

Byłem więc pewny, że śmierć mnie nie minie.

Moje śledztwo jest tylko formalnością, poszukiwaniem, pracą dla skonstruowania zbrodni, za którą mam ponieść śmierć, wyznaczoną mi już z góry.

I tu zaczynały się dla mnie nowe strachy. Oto denuncyanci,

którzy zapewne działają w porozumieniu z rządem, skoro zobaczą że za zmyślony udział w rozwiązaniu wschodniego legionu nie mogę być sądzony, zmyślą na mnie coś innego. A ponieważ słowa są także karane śmiercią, więc zmyślą, że powiedziałem coś przeciw państwu, czy przeciw cesarzowi i wyprawią mnie na tamten świat.

Śmierci za polskie przekonania i za przywiązanie do Konstytucyi nietylko się nie bałem, ale jej pragnąłem. Czułem do niej pewną tęsknotę. Zdawało mi się, że ta śmierć nie minie bez echa, że nią może lepiej usłużę naszej sprawie niż najpracowitszem życiem. Nie nadarmo żyłem, skoro krwią pieczętuję wierną służbę dla narodu. To lepszy koniec niż naturalna śmierć na niestrawność.

Ale pragnąłem, żeby to była śmierć za zasadę. Przygotowywałem sobie w myśli mowę niby to obronną przed sądem, a w rzeczy samej tylko ostre, nieprzejednane określenie mego stanowiska. To miał być mój testament, więc rozmyślałem, żeby się go nie wstydzić.

Natomiast śmierci za jakieś niedowarzone powiedzenie bałem się okropnie. Taka śmierć byłaby przekreśleniem mojej działalności, zaprzeczeniem mego życia, ośmieszeniem krwi przelanej. „Niewyparzony pysk", lub „niepowściągliwy język" oto tytuł, jakiby do mnie przywarł; pamięć o mnie nie mogłaby się zachować i byłoby pożądanem, żeby zginęła jak najrychlej, bo zapomnienie lepsze jest od ośmieszenia po śmierci, zwłaszcza gwałtownej. Żadny polityk, który ginie za rozwiązłość w języku!

A ponieważ tego się bałem, więc powoli nabierałem przekonania, że za to, a nie za co innego czeka mnie śmierć. Nie przewidywałem, jaki obrót weźmie sprawa legionu wschodniego, bom jej zupełnie nie znał. Wiedziałem tylko, że trzeba ogromnie wiele i ogromnie składnie zmyślać, żeby mnie do niej wplątać. A itak musieliby kierownicy sekcyi wschodniej być naprzód haniebnie straconymi, ażbym ja pod ich kirem mógł dostać karę więzienia, tylko – bo śmierć jest tutaj dla mnie w każdej kombinacyi

nieprawdopodobną.

Tę trudność zobaczą z pewnością denuncyanci. Zresztą śmierć za udział w rozwiązaniu wschodniego legionu ma zawsze charakter męczeństwa za ideę. Takiej śmierci oszczercy z pewnością dla mnie nie pragną. Oni wiedzą, że po śmierci moje wspomnienie stałoby się groźniejszym przeciwnikiem dla nich, niż ja żywy.

Zatem niezawodnie obmyślą dla mnie śmierć nieideową, niechwalebną.

Fatalistyczny pogląd na swoje przeznaczenie utwierdzał mnie w tem przekonaniu. Oto z chwilą wybuchu wojny i zawieszenia konstytucyi postanowiłem sobie usunąć się od świata, zerwać z ludźmi i nigdy nic nie mówić, ażby wrogom nie dostarczyć pozoru do denuncyacyi. Trzymałem się ściśle w tej roli i tryumfowałem w duchu z ich bezsilności, bo szkodzić mi nie mogli.

I mimo tego zostałem zaaresztowany bez przyczyny – poddany pod surowość rozporządzeń wojennych za opinie, wyrażane przed ogłoszeniem tych rozporządzeń. Zdawało mi się, że przez silną wolę nie dam się losowi, a oto los zadrwił ze mnie i bez mojego przyczynienia się osadził mnie w kozie.

Wobec tego nie ma wątpliwości, że moja zła dola zadrwi ze mnie raz jeszcze i sprowadzi na mnie śmierć gwałtowną, ale niechwalebną, ośmieszającą, zawstydzającą.

Niebawem nabrałem silnego przeświadczenia, że będzie tak, a nie inaczej. Bolało mnie to niewymownie, ale że nie był samotny, nie mogłem z tą boleścią i piekącą obawą wziąć się za bary, wyczerpać jej straszliwą ohydę duszą aż do dna i stępić swoje uczucie na tę bojaźń. Mój płytki, nudny, a gadatliwy

towarzysz nie pozwolił mi zagłębić się aż do dna.

Tymczasem życie więzienne, urozmaicane spacerem, którego nigdy nie opuszczałem, płynęło swojem zwykłem korytem.

Oprócz tych bólów duchowych imieniny matki i siostry (obydwom na imię Barbara) przypadające na 4 grudnia, wzbudziły we mnie nowe smutki. O siostrze bałem się myśleć ze zgrozy nad kozackimi postępkami. Za to matka zjawiała mi się tak wyraźnie, tak dotykalnie, iż mogłem w ten widok patrząc malować jej portret. Było to już nie przypomnienie, ale widzenie, prawie halucynacya. Nabierałem coraz bardziej przekonania, że matka nie przeżyła bitwy, która toczyła się u nas we wsi, na naszem polu i na gminnem pastwisku. Staruszka dostawała bicia serca na odgłos moździerza wiwatowego, więc huk dzisiejszych haubic musiał sam ją dobić. Wyobrażałem sobie, jak na odgłos tej piekielnej muzyki staruszka z obłędem w oczach wylatuje na pola i pada ze strachu bez życia. Widziałem ten obłęd i przyschnięte łzy w tych starych, siwych i przyćmionych już oczach. Tych męczarni nie potrafię oddać i opowiedzieć.

Czasami znowu przypominałem sobie, że od Jarosławia w dół aż za Sieniawę ewakuowano ludność ze wszystkich nadbrzeżnych wsi, które palono. O straszliwości tego dzieła opowiadał mi p. Myczkowski z Muniny pod Jarosławiem, więc wyobrażałem sobie, jak matka i siostra z kilkorgiem dzieci uciekają z płonącej wsi, jak z falą wygnańców zawędrowały odarte, zgłodniałe gdzieś w brzozowszczyznę i tam je kozacy ogarnęli. Teraz zapewne już gdzieś na rozdrożu konają z głodu.

W tych torturach mój towarzysz był mi nadzwyczajną ostoją, bo swojem powtarzaniem tych samych pytań i opowiadań przerywał dumania i wytrącał z równowagi. Nie chcąc wybuchać zniecierpliwieniem, przygryzałem usta, pasowałem się z własnym gniewem, ale za to męka ulatniała się.

Jednego dnia przyszedł klucznik i zapowiedział, że się mamy zabierać z tej celi na pierwsze piętro. Cela nasza bowiem została przeznaczona na miejsce pobytu ~~dla~~ ostatniego dla skazańców. Właśnie nieradłego mają takiego biedaka przyprowadzić. Takie urządzenie okazało się potrzebnem z powodu częstych wyroków śmierci, których liczba prawdopodobnie coraz będzie większa, oraz z powodu wielkiej ilości więźniów. Wszystkie cele mają najmniej po trzech, często po pięciu aresztantów – w celach o dwu oknach liczba nagromadzonych więźniów przenosi 30 w kupie – więc dla odosobnienia skazańców przeznacza się ~~całą~~ jedną celę całkowicie.

Sienniki należą do inwentarza celi. Zabraliśmy więc każdy swoją „dekę" oraz zdjętą niedawno brudną bieliznę i opuściliśmy naszą celę nr. 40, a poszliśmy na I piętro do celi nr. 51.

Tam zastaliśmy już jednego gościa i nie mogliśmy sobie wyobrazić, że na tak małej przestrzeni będziemy musieli dusić się we trzech.

Gość tam napotkany nazywał się Stefan Ligocki, właściciel dóbr z Królestwa. Nazwiska jego posiadłości zapomniałem, wiem tylko, że majątek leżał tuż na granicy niedaleko Krzeszowic. P. Ligocki młody, drobny, elegancki blondyn, o rzednących włosach, zagarniętych w tył głowy, o pięknych starannie noszonym wąsie po polsku, straszliwie nie pasował do tego apartamentu. Chodził w lakierkach i wytwornych spodeńkach, a na ramionach nosił wyborowe futerko wiejskie. Na piecu leżały jego przybory toaletowe, jak duże zwierciadło, żelazko do zapiekania wąsów, opaska na wąsy, mydełko itd.

Pan ten przywitał nas serdecznie, jakoby czuł się gospodarzem i gości pożądanych przyjmował. Ucieszył się naszem przybyciem naprawdę, ponieważ samotność bardzo mu dokuczyła.

Był p. Ligocki rezerwowym oficerem rosyjskim. W jego dworze mieszkał jakiś jenerał austryacki ze sztabem podczas operacyi w miechowskiem. Kiedy wojsko austryackie musiało się cofnąć, zabrało także i jego z sobą, celem internowania rosyjskiego oficera. Tymczasem aż do przeprowadzenia formalnego tej sprawy zostawiono go w Kozie.

P. Ligocki ani słówkiem nigdy nie wspominał o żadnej sprawie politycznej, natomiast bardzo chwalił zachowanie się wojsk austryackich w Królestwie. Zabrano mu zboże, siano, konie, ale zaraz gotówką zapłacono. A chociaż cena wydawała mu się trochę niska, to zapłata gotówkowa zupełnie go przejednała: tak postępują tylko bardzo cywilizowane wojska.

Jednego razu zabrał mu był jakiś kanonier lepszego konia i wprzągł do armaty, kiedy wyruszono w pole. P. Ligocki poskarżył się przed jenerałem, ~~...~~ który natychmiast wysłał adjutanta do wszystkich dowódców wojska w pochodzie i po kilku godzinach koń zhasany znalazł się w stajni z powrotem. O innych rzeczach wesoły, przyjazny, uśmiechnięty p. Ligocki nie mawiał. Za to znakomicie słuchał.

Jakoż wkrótce mój p. Pospišil odżył, złowiwszy nowego słuchacza. Wnet rozwinął sprawę stacyi kolejowej w Proszowicach, Nakoniecznego, Niemców i swojego Kołnierzyka z mauretanni. Obleziony przez niego p. Ligocki z wdziękiem wielkiego pana wsłuchiwał się w opowiadanie, a p. Pospišil poprostu rozmiękł i kraśniał i delektował się swoją słowacką polszczyzną, skoro znalazł nowe medyum. Ja mogłem spokojnie oddać się zadumie, z której nikt mnie nie wyrywał.

Niezwykle prędko ułożyły się stosunki pożycia z nowym towarzyszem. Pod krótszą ścianą, w której było okno, leżały na sobie trzy sienniki, a na nich szykowny szlachecki pled p. Ligockiego jako kapa salonowa. Zostawała nam więc przestrzeń kwadratowa prawie do poruszeń. Chodziliśmy w kółko jeden za drugim, trzymając krok,

a gdy nam się głowy zawróciły od Kołowacizny, zmienialiśmy kierunek. Czasami oni obaj siadali na siennikach, p. Ligocki, aby słuchać, a p. Pospišil, aby opowiadać o Prościejowie i o Nakoniecznym, kiedy ja tymczasem chodziłem na przekątni jak osioł w kieracie.

Rano p. Ligocki, który z grzeczności wstawał ostatni, przypalał wąsy na ogniu świecy, brał szpalkę i wogóle szykował się po domowemu. Ja wstawałem pierwszy przed ogólnem budzeniem, po mnie Pospišil na komendę, a obudzony już p. Ligocki dopiero ostatni z ustępliwości. Składaliśmy sienniki razem na kupę, a zamiatanie załatwialiśmy kolejno codziennie kto inny.

Po czarnej kawie porannej zaczynał się kołowaciznowaty spacerek w kółko, podczas którego p. Ligocki nucił półgłosem różne melodyjki. Ponieważ żył na swój koszt w kantynie, dostawał około ósmej białą kawę z bułką „cesarską." Potem kręcemi się w kółko, a gdy oni się zmęczyli i usiedli do pogawędki o Prościejowie i Nakoniecznym, chodziłem ja sam jeden. P. Ligocki udawał niezmiernie zainteresowanego opowieścią.

Na powszednią przechadzkę więzienną nie wychodził p. Ligocki nigdy. Tylko przez okno, postawiwszy na siennikach stolik od miednicy wyglądał na nas, obracających się w kółko. Wnet też i p. Pospišil, wypatrzywszy wstydliwą metodę p. Ligockiego, przestał chodzić na wspólne spacery. Ja jeden chodziłem na nie zawsze, gdym po pierwszem wyjściu zobaczył, że mimo otwartego okna upiłem się świeżem powietrzem. Bałem się osłabienia, do którego byłem skłonny jako cierpiący, a nie chciałem podczas rozprawy przez osłabienie i wyczerpanie skompromitować siebie lub drugich. Po naszym obiedzie więziennym, który dostawał także p. Ligocki, otrzymywał on z kantyny jeszcze swój własny obiad, złożony z zupy, pieczystego z jarzyną i z leguminy. Przy tym jego obiedzie najważniejszą rzeczą było, że dostawał i widelec i nóż nawet. Z tej okoliczności skorzystał jeszcze

przed naszem przesiedleniem się do niego, bo ukrył jeden nóż i miał go odtąd do krajania chleba, a skutkiem tego i myśmy go mieli. Nie trzeba już było łamać chleba o kant stołu.

Po zjedzeniu obiadu więziennego nie mógł podołać obiadowi z kantyny i prosił nas o pomoc. Wkrótce podzieliliśmy jego trud w ten sposób, że p. Pospišil zajadał całą jego kantynową zupę, ja połowę jego pieczystego, a legumine przeważnie dzielili z p. Pospišilem, bo ja legumin nie lubię.

Po obiedzie chodzenie w kółko, około czwartej p. Ligocki dostawał kawę z kantyny, a około szóstej dostawaliśmy wszyscy więzienną czarną kawę. W międzyczasie chodzenie i gawędka.

Kiedy p. Pospišil uznał, że nawet cierpliwy p. Ligocki ma dosyć Trocinjowa i Nakonieczngo, zaczął opowiadać bajki. Umiał dość bajek chłopskich i te były niezwykle interesujące. Charakter bajek chanackich jest ogniwem pośrednim między polskiemi, a niemieckiemi gadkami. Są niektóre takie nasze swojskie znad Wisłoka czy Wisły, że miałem ochotę wykrzyknąć: to nasze. Wnet jednak ten lub ów szczegół rzemieślniczy, młynarski, książęcy przenosił mnie gdzieś nad Ren lub Neckar.

Bajki te jednak rychło się wyczerpały i p. Pospišil wziął opowiadać zbójecko melodramatyczne historye. Okazało się, że jest najpilniejszym widzem kinematografów, że pamięta dokładnie wszystkie tam przedstawiane awantury i że to jest jedyna jego literacka lektura. Tego już zatkiem nie mogłem słuchać, gdy p. Ligocki coraz rozpoznawał kinowe przedstawienia.

Z tych bajek jedna najobrzydliwsza wydaje mi się godną zanotowania, jako pochodząca od brata pospiszilowego, wychowanka szkoły kadeckiej. Pan ten, jako kadet opowiadał bratu, naszemu towarzyszowi anegdoty, będące w obiegu między wychowankami szkoły.

Otóż trzech świeżo upieczonych oficerów spierało się o to, który

z nich na ślepiej przywiązanego sługę żołnierza czyli pucfatynera i uczynili między sobą zakład. Pierwszy z tych oficerów kazał swojemu żołnierzowi pocałować siebie w niewymowne, ale bardzo często w tym związku wymieniane miejsce ciała, co żołnierz naturalnie bez wahania uczynił. Drugi oficer, aby tamtego prelicytować zapowiedział swojemu żołnierzowi, że mu odetnie palec u ręki i dokonał zapowiedzi za zgodą sługi, który po tej krwawej operacyi powiedział: „dziękuję panu panie lajtnant, bo wskutek tego zwolnili mnie od dalszej służby wojskowej." Wiadomo bowiem, że ludzi bez wskazującego palca u prawej ręki nie bierze się do wojska. Wtenczas trzeci oficer, aby przewyższyć obu kolegów, uczynił naturalną potrzebę w naczynie i kazał swojemu ordonansowi te ekskrementa zjeść. Żołnierz na rozkaz ukochanego przełożonego zabrał się do roboty z apetytem i zartocznością, ale w połowie obiadu stanął. Zapytany o przyczynę i pobudzany do dalszej roboty groźbą, że jego pan może zakład przegrać, odpowiedział: „Panie lajtnant! nie mogę znosić włosów w potrawach, a tu jest włos."

Tę obrzydliwość zapamiętałem jako specyficzną anegdotę szkół kadeckich, świadczącą o tem, w jakim duchu, w jakiem poczuwaniu i zrozumieniu duszy ludzi, oddanych pod władzę, wychowują się młodzi adepci stanu oficerskiego w szkołach kadeckich i z jakiemi wyobrażeniami o swoich prawach i obowiązkach wychodzą w świat dla objęcia władzy nad podległymi żołnierzami.

Na pogawędkach schodziły wieczorne godziny – około ósmej dostawał p. Ligocki wieczerzę z kantyny, a niekiedy brał i piwo dla nas i dla siebie.

Około dziewiątej rozkładaliśmy obok siebie sienniki na podłodze i kładliśmy się spać. Trzy sienniki mieściły się jako tako obok siebie. W innych celach ściskano cztery sienniki

i kazano pięciu ludziom spać na nich zgodnie. Przez całą noc paliło się na suficie światło elektryczne, jak zwykle.

Jeślibym i był miał ochotę żalić się na swoje położenie, to widok p. Ligockiego musiał rozpraszać te wewnętrzne skargi. Ja jestem oskarżony, więc siedzę w kozie - ale on obcy poddany, nie obwiniony o nic, uwięziony tylko po to, aby armii rosyjskiej ująć jednego oficera, a przecież tak samo leży na ziemi, bez prześcieradła na sienniku, zaryglowany w wilgotnej celi.

Co prawda wilgoć na piętrze była mniejsza niż na dole, jednakże rogi wszystkie poczerniały już od przemoknięcia, a cała ściana pod oknem wyglądała na brudną płachtę zgrzebną. Za to środek innych ścian był suchy, tylko cuchnął świeżyzną, skombinowaną z miałem węglowym i z ludzkimi wyziewami.

Jako fatalista, w Opatrzność niewierzący, mam skłonność do zabobonów, w które staram się nie wierzyć, ale które mimo wszystko narzucają mi się. Upatrywałem związek między mojem uwięzieniem a rozwojem procesu. Półtoratygodniowe zamknięcie w celi dolnej, która później została przeznaczona na ostatni pobyt skazańców, symbolizowało mi moje postawienie przez krótki czas pod sąd doraźny. Przeniesienie do innej celi i uwięzienie z człowiekiem niewinnym było niejako odzwierciedleniem oddania mojej sprawy pod postępowanie śledcze. Już śmierć nie wisiała mi nad karkiem lada chwila, tylko coraz się oddalała.

Cieszyłem się z tego i nie. Śmierć odwleczona jeszcze odemnie nie uciekła. Czatuje na mnie dalej. Rzecz o tyle się zmienia, że moje więzienie przedłuża się niepotrzebnie i że zanim mnie zabiją, naprzód mnie mocno udręczą. Takie powolne konanie nie ma w sobie nic pociągającego. Człowiek skłonny do złudzeń może się cieszyć w tym czasie nadzieją - ja jako pesymista nie chciałem mieć nadziei, pragnąłem być zawsze przygotowany na najgorsze, ażeby ewentualny wynik nie zaskoczył mnie niespodzianie i bezpotrzebnie nie wyprowadził z równowagi.

kresztą jakąż mogłem mieć nadzieję? W najlepszym razie denuncyanci do popełnionej nikczemności ~~od~~ dodadzą jeszcze osobiste tchórzostwo, nie zdobędą się na konsekwentność w łotrostwie i cofną się przed krzywoprzysięstwem, które by mi odebrało życie. Natenczas z pewnością nałożą tyle innych kłamstw, że sąd nie mogąc skazać mnie na śmierć, zasądzi na długie więzienie. To gorsze od śmierci. Zostaje mi jeszcze sił najwyżej na kilka lat, bo później z pewnością będę kaleką, i tych kilka lat przegniję w więzieniu. Wyjdę z niego ruiną fizyczną, a może i moralną, niezdatny na nic, niepotrzebny nikomu, ot zwyczajny ciężar dla drugich. Przez tych kilka lat jeszcze czuję, że mógłbym być pożytecznym dla narodu – to właśnie będę zamknięty! Po wyjściu z więzienia zostanie mi chyba samobójstwo jako ostatnia ucieczka.

Ta myśl tak nurtowała we mnie, że przez cały grudzień i styczeń ciągle postanawiałem sobie podczas spaceru podnieść jakiś krzyk, któryby ~~go~~ mógł jako zdrada główna sprowadzić na mnie rozstrzelanie do trzech dni. W ostatniej chwili refleksya wstrzymywała mnie od tego uwagą, że na to zawsze jeszcze będzie czas, a warto wiedzieć, jak będzie wyglądał mój proces, jaki i za co zapadnie wyrok? Czasami przychodziła ciekawość, jak też wojna się skończy i jak się świat ułoży po niej. Ale ta ciekawość sama doprowadzała mnie z powrotem do tych rozpaczliwych pomysłów. Toż po skończeniu wojny będę siedział w więzieniu – nie będę brał udziału w uregulowaniu spraw świata, ani też w zapoczątkowaniu jakiegoś nowego życia narodowego w jakichś odmiennych nowych warunkach. Po co doczekać takiej rozpaczy!

Kiedym się czuł spokojniejszym, odkładałem sobie wykonanie takiego zbrodniczego okrzyku aż do rozprawy sądowej. Będzie rozprawa, będę się bronił, a potem ogłoszą mi wyrok na 10, 18 lat więzienia. Wyrok ten umotywują. Będę miał czas go wysłucha-

nia motywów krzyknąć głośno coś, co będzie niejako spotęgowaniem tych motywów i taką prowokacyą, że muszą mnie natychmiast postawić pod sąd doraźny.

Do tego postanowienia przyprowadziła mnie trudność w wyszukaniu takiego okrzyku. Gdybym wrzasnął publicznie wobec półtorej setki więźniów: „Niech żyje Rosya!" albo „Precz z Austryą" rozstrzelanie byłoby pewne. Tylko mnie, nawet w poszukiwaniu śmierci, te okrzyki nie przecisną się przez gardło, bo są kłamstwem. Rosyi życzę, żeby ją dyabli wzięli jak najrychlej, nie będę więc dla niej wiwatował. Austryi nie życzę tymczasem ~~wszystkiego najlepszego~~ nic złego, chociaż chciałbym ją we wielu kierunkach przeinaczyć, trudno mi więc wołać, iż jej życzę zguby. Zawiwatować na cześć Serbii po mordach w Belgradzie, a obecnie w Sarajewie, jest wprawdzie prowokacyą i sprowadza rozstrzelanie niechybnie, ale daje o krzykaczu niepochlebne świadectwo, bo jest grubo nieprzyzwoite, stanującego się człowieka niegodne.

Poza tem chodziło mi jeszcze o jedno. Blokowcy zahipnotyzowali prasą i opinię publiczną wrzaskiem oraz pomocą cenzora i ustaw wojennych, że każdy Polak, który nie ufa Prusom, jest moskalofilem. Aby się ustrzedz zarzutu moskalofilstwa, powinien Polak w wojennym czasie wiwatować Hohenzollernom, śpiewać: „Deutschland über Alles," uwielbiać kulturę Ostmarkenvereinu, Komisyi Kolonizacyjnej, pedagogii wrzesińskiej i ustawy o wywłaszczeniu. Kto te rzeczy potępia, zostaje przez blokowców mianowany rosyjskim szpiegiem i członkiem ochrany, jak mnie to socyaliści zrobili w Krakowie. Kto milczy i entuzyazmu dla tych rzeczy nie okazuje, bywa ogłaszany za zwykłego moskalofila i zdrajcę duchowego.

W tem wykrzywieniu wszelkich polskich pojęć jest rzeczą koniecznią zachować panowanie nad sobą, utrzymać się przy własnem prawdziwie polskiem stanowisku i nie dać się porwać wirowi walki. Niektórzy najlepsi Polacy, broniąc swojej nieufności do Prus, dali się porwać jednostronności przez ciągłe zaczepki i poszli tak da-

leko, że widzieli tylko jedyne niebezpieczeństwo niemieckie, a zamykali oczy na niebezpieczeństwo rosyjskie. Przez tę jednostronność, w którą ich wpędziła zajadła nagonka blokowców, stawali się niepostrzeżenie moskalofilami, choć nimi z przekonania nie byli.

Gdybym więc, szukając śmierci, wiwatował na cześć Rosyi albo Serbii, zezwoliłbym ze swego stanowiska polskiego, zamąciłbym moją linię wytyczną i umierałbym dla stwierdzenia fałszu, dla zaprzeczenia całej mojej działalności.

Mógłbym śmierć łatwo ściągnąć przez głośne popełnienie obrazy majestatu, ale ten krok, niegodny poważnego człowieka, miałby tylko cechy pospolitego sztubactwa, niedowarzonego mózgu.

Zostawały mi dwa okrzyki, prowokacyjne, ale ostatecznie dające się pogodzić z moją linią wytyczną: Obraza Prus albo pochwała Francyi.

Tu jednak zachodziła obawa, że może sąd nie zechciałby tutaj stosować najostrzejszej kary, to jest śmierci, lecz mógłby wygarnąć mi ze 20 lat więzienia i ja zrobiwszy prowokację, nie osiągnąłbym skutku: nie zostałbym rozstrzelany.

Ważyły mi się więc ciągle w głowie wszystkie te projekta, a każdy miał swoją złą stronę. Jednakże myśl o śmierci, pragnienie śmierci szturmowało we mnie bez ustanku. Zdaje mi się, że codzienny widok miejsca tracenia, że krew świeżo tam rozlana i ledwie przysypana piaskiem, wywierała na mnie rodzaj magnetycznego przyciągania. Gdybym był poetą, napisałbym balladę na wzór göthowskiego Fischera, gdzie miejsce tracenia, odwiedzane codziennie przez niewinnego człowieka, który tam stracił kogoś bliskiego, czyni go w końcu zbrodniarzem, byle tylko mógł na tem samem miejscu ulec śmierci gwałtownej.

Poza tem jakiemś przyciąganiem także i rozważanie spokojne skłaniało mnie ciągle do szukania śmierci. Ale o samobójstwie nie myślałem nigdy: chciałem, żeby mi inni wzięli gwałtem życie, ja go sobie odbierać nie chciałem. Uważałem siebie za ofiarę i charakter ofiary chciałem zachować do końca.

Moje położenie nie chciało się wyjaśnić. Dwa razy wzywał mnie do siebie sędzia śledczy, ale tylko poto, aby mi wręczyć listy, a raczej kartki od bratowej, pisane do Białej, gdzie biedaczka donosi o zranieniu i wzięciu do niewoli mego brata, oraz prosi mnie jako posła o wywiedzenie się o nim za pośrednictwem neutralnych ambasad. Brat ranny w niewoli, matka z siostrą pod rosyjskim zalewem naprzeciw zacięcie bronionej i kilkokrotnie zdobywanej Sieniawy, bratowa z dziećmi w najgroźniejszym niepokoju, a nadewszystko widmo sądu i śmierci haniebnej: oto były uczucia, miotające mną w dzień i w noc, nie dające wytchnienia ani rozrywki w tem przymusowem próżnowaniu za kratą. Rozpacz i niedola.

Nagle przyszła mi na pamięć pieśń, śpiewana przez Helenę Kurcewiczównę dla uspokojenia obłąkanego Wasyla:

I w noc i we dnie wołam do Cię, Panie!
Pofolguj męce i łzom żałościwym.
Bądź mnie grzesznemu ojcem miłościwym:
Usłysz wołanie.

Jakoby balsam jaki zlewały się te słowa w serce. Słowa, dobyte w męce i beznadziejnem rozprzężeniu, a tak dokładnie oddające mój stan. I ja dręczyłem się i w noc i we dnie, i ja żyłem w męce i we łzach, tylko nie wiedziałem, do kogo wołać, a tak mi gorąco było potrzeba tego jakiegoś ojca miłościwego, co wołanie może usłyszeć. Powtarzałem sobie te wiersze. Ich rytmiczny tok i owo safickie zakończenie strofy przez krótki wykrzyk: „Usłysz wołanie", odpowiadało duszy, co starta w proch przez cierpienia, próbuje wołać i prosić, ale w męce wypowiedziawszy kilka wyrazów, traci oddech i zrywając się, ostatniem wysileniem jeszcze dodaje: Usłysz wołanie!, aby natychmiast popaść w bezsilność.

Powtarzanie żalów innej jakiejś zrozpaczonej duszy, co się użalała w podobnem do mojego położeniu, niosło jakąś pociechę. Wczuwałem się w te słowa, wmyślałem się w nie i poprzez kilka wieków różnicy znajdowałem takiego samego człowieka, tak samo bolejącego: wieczny, ten sam ból życia, niezmienne i nieśmiertelne cierpienie, w którem rodzą się i umierają pokolenia, narody i rasy. Moja dawna filozofia, wychodząca z zasady: cierpię, więc jestem, znajdowała w mojem położeniu illustracyę, a w owych słowach Kochowskiego dowód, że poprzez wieki, stany i rasy jedynym prawdziwym znamieniem życia jest ból.

Tak mijały szare, ponure, dni zimowe. Posępność naszego grudnia wzmagała się w celi przez matowe szyby okienka, tudzież przez wychodzenie jego na północno wschodnią stronę.

W pierwszym tygodniu grudnia kazano mi iść do szczepienia przeciw cholerze. Tłumy więźniów czekały na swoją kolej. Między kobietami przeważały jakieś prostytutki i kasyerki, niektóre z nich, jak żołnierze twierdzili, chore na weneryczne choroby. Gdy na mnie przyszła kolej, mówiłem lekarzowi, że moje ciało ma idiosyncrasię do jodyny i prosiłem, żeby mi pierś czem innem zdezynfekował. Ale nie raczył słyszeć. Opędzlował jodyną i wbił strzykawkę pod skórę. Wkrótce też zaropiała mi się cała napędzlowana przestrzeń i musiałem przez kilka dni chodzić regularnie do „Marodenwizyty", gdzie mi lekarz okrywał ropiejące miejsce grubą warstwą wazeliny. Gdy po sześciu dniach robił drugie wstrzykiwanie anticholeryczne, już mi ciało odkażał benzolem.

Wreszcie w połowie grudnia skończył się p. Ligockiemu czas próby. Odstawiono go do Wielkich Kończyc (Gross Kunzendorf) na granicy śląsko morawskiej na internowanie i życie wolne, ale pod nadzorem. Całował się z nami wyjeżdżając, obiecał pisać o sobie, ale nie napisał, więc odtąd straciłem o nim wiadomość. Jego towarzystwo przyniosło mi jedną szkodę: już dwa

miesięcy z górą wstrzymywałem się od palenia tytoniu, gdym się dostał w jego towarzystwo. On palił papierosy. Na przestrzeni kilku metrów kwadratowych nie można znaleźć siły potrzebnej do wstrzymania się od zakorzenionego nałogu gdy drugi dmucha w nos dymem, jakoż wkrótce popadłem ponownie w ten nałóg.

Zostaliśmy na krótki czas sami z p. Pospišilem. Ponieważ mój sędzia śledczy przy jednem wezwaniu po list wydał mi zezwolenie na „Aufbesserung der Kost," więc pijałem rano białą kawę z kantyny, a wieczorem brałem mięsną wieczerzę. Obiadu z kantyny nie brałem, ponieważ obiad żołnierski okazał się osobliwością smakowitą w porównaniu z tem, co p. Ligocki dostawał.

Jednego razu podczas spaceru po topniejącem błocie spostrzegłem w stojącej pod murem grupie świeżo przyprowadzonych więźniów p. Józefa Biechowiaka, sekretarza Zjednoczenia zawodowego chrześcijańskich robotników, a mego współpracownika i przyjaciela z Bielska. Przeraziłem się. On zaś przerażony jeszcze więcej, jako świeżo przybyły, mrugnął na mnie znacząco, abym się do niego nie przyznawał. Sam również udawał jakoby mnie nie znał. W ogromnym niepokoju przepędziłem ten dzień, czyniąc tysiące domysłów, ale żadnego takiego, któryby miał sens.

P. Biechowiak ~~nazajutrz~~ w kilka dni później znalazł się na spacerze w naszej grupie starych więźniów i widocznie siedząc z innymi, już się rozejrzał w stosunkach, bo przystąpił do mnie. Odtąd przez szereg tygodni tworzyliśmy zawsze stałą parę spacerową.

Dowiedziałem się od niego, że robotnicy bielsko bialscy po mojem aresztowaniu zmawiali się celem urządzenia demonstracyjnego strajku i tylko perswazye starszych odwiodły ich od tego niebezpiecznego zamiaru. Fabryki tamtejsze bowiem zostały postawione pod prawa wojenne, jako dostarczające zamówień wojskowych. Byłoby więc wiele niewinnych egzystencyi zniszczonych. Niemniej ten dowód przywiązania uradował mnie mocno. Byłem przekona=

ny, że z chwilą aresztowania wszyscy się mnie wyrzekli, że ze strachu będą wyrzekać się mojej znajomości i potępiać mnie dla przypodobania się władzom. Na pomoc i życzliwość nie liczyłem. Uważałem się za banitę, odciętego jak zeschła gałąź od społeczeństwa. Zostawiłem kilku przyjaciół w Białej i w Krakowie, którym wierzyłem. Nie chciałem do nich jednak pisać i nie życzyłem sobie od nich żadnych listów z obawy, aby niejako nie dać władzom adresu ludzi, których należałoby aresztować. W tym kierunku tak panowałem nad sobą, że nawet myśląc i wspominając, kończyłem moje rozmyślania na epoce tarnopolskiej. Tamtych, dawnych przyjaciół i znajomych wywoływałem pamięcią. Natomiast o krakowskich i bialskich starałem się nie myśleć i rzeczywiście nie myślałem. Zdawało mi się, że gdy będę o nich myślał, to sędzia śledczy może być niejako magnetycznie naprowadzony na ich osoby, a wtedy kara ich nie ominie. Wystarczy, gdy ja sam jeden będę cierpiał.

W tych obawach utwierdził mnie jeszcze p. Biechowiak. Opowiadział, że mój sędzia śledczy Dr. Knopf przepędził cztery dni w Białej i w Bielsku, że przeprowadził rewizję u wszystkich moich znajomych, przyjaciół i tych, których mu Niemcy podali jako przyjaciół. Aresztowany był Matłosz i przesiedział w Bielsku przeszło tydzień, zanim zabiegom rozmaitych osób udało się uzyskać jego uwolnienie. Biechowiak siedział również w Bielsku, ale że nie miał protektorów, odstawiono go do Ostrawy. Aresztowany jest prof. Borkowski, którego przedstawiono jako mojego przyjaciela. P. Borkowski, niezły człowiek, jest jednak pomylonym nudziarzem, gadającym wiecznie o swoim Narodu, toteż unikałem jego towarzystwa z obawy przed nudą. Na tytuł mojego przyjaciela nie zasługiwał więc bynajmniej.

Zdrętwiałem na te opowiadania, boć właśnie przed kilku dniami, zrozpaczony odcięciem od świata, napisałem kartkę do prof. Zygmunta Podgórskiego z pytaniem o wiadomości. Nasza przyjaźń była znana — dałem więc adres człowieka, którego należy aresztować. Rozpacz mnie chwyciła, gdy pomyślałem o jego dwojgu dzieciach sierotach, które mogą zostać wydane na pastwę nędzy. P. Biechowiak opowiedział, że Podgórski już dawno, prawie zaraz po mojem aresztowaniu wyjechał z Białej. Tem gorzej, bo to wygląda na ucieczkę i na dezercyę zarazem. Ucieczką przyznaje się do winy, tak że go sąd musi z góry uważać za winowajcę i nakazać ściganie. A któż się w tych czasach zdoła ukryć? Na dworzec kolejowy nie wpuszczają bez legitymacji, po wagonach odbywa się ścisła kontrola podróżnych, na gościńcach i drogach stoją straże i zatrzymując przejezdnych kontrolują przepustki, a po wsiach i miastach obowiązuje surowy przepis meldunkowy dla wszystkich przybyszów. Co ten nieszczęśliwiec zrobił najlepszego? Nie ukryje się nigdzie, ale gdy go złapią, stanie przed sądem jako rzeczywisty winowajca, boć skoro uciekał, stwierdził, że się czuje winnym.

Prawie od zmysłów odchodziłem z rozpaczy nad jego nierozważnym postępkiem.

Pod wieczór znowu mnie zawezwał sędzia śledczy i z naiwnością udaną powiedział, że mojej kartki do Podgórskiego nie dał na pocztę, bo postanowił sam osobiście mu ją wręczyć za pobytem w Białej i w Bielsku, tymczasem p. Podgórski wyjechał i nikomu nie powiedział gdzie, więc sam będzie sobie winien, jeżeli się za nim rozpisze listy gończe.

Aha! Więc listy gończe jeszcze nie rozesłane: dobrze i to na teraz.

Skorzystałem ze sposobności, aby jasno się dowiedzieć, za co siedzę. Postawiłem kwestyę w ten sposób: Jeżeli sprawa toczy się wyłącznie o rozwiązanie legionu wschodniego, to był już czas wybadać, że ja w tem udziału nie brałem, dla czego się mnie nie wypuszcza? Jeżeli sprawa jeszcze niezbadana, to dziwię się, czemu ci, którzy byli czynni w rozwiązaniu legionu, nie siedzą razem ze mną.

Dr. Knopf natychmiast zapytał o nazwiska. Widziałem w tem pytaniu podrywkę, więc odpowiedziałem, że do sekcyi wschodniej należało dwudziestu panów, których nazwiska były ogłoszone w gazetach.

Jeżeli w mojem aresztowaniu chodzi o sąd nad całem stronnictwem, to dlaczego ja jeden mam siedzieć, a nie wszyscy posłowie sejmowi i parlamentarni?

Pan sędzia zrobił tajemniczą minę, powiedział, że przecież nie wiem czy inni także nie siedzą, że rzecz jest poważniejsza niż ja sobie przedstawiam, a została wdrożona na polecenie niebywale wyższych czynników niż namiestnik, że jednak dotychczasowe śledztwo pokazuje, iż jestem mniej skompromitowany niż inni.

Dlatego też p. sędzia pozwoli mi na pewne ulgi, a z tych pierwszą będzie, że do sądu może mnie ~~z~~ eskortować podoficer lub żołnierz w służbie, bez najeżonego karabinu. Pozwala mi też na pobieranie gazet. Szczegółów bliższych nie dowiedziałem się jednak.

Rozmyślania nie doprowadziły mnie do żadnego jasnego wyniku. Wyobrażałem sobie rzecz następująco:

Rząd chce nasz kierunek polityczny przez wojnę złamać i okryć hańbą oraz potępieniem. Ze względów oportunistycznych nie chce jednak przedsięwziąć masowego aresztowania kilkudziesięciu posłów, bo to mogłoby wśród galicyjskich żołnierzy wywołać bardzo zły skutek. I tak Galicya znajduje się prawie cała w rękach nieprzyjacielskich, nastrój zaś jest taki, że prawie nikt nie wierzy w możność jej odebrania. Żołnierze zatem muszą być zrozpaczeni, a gdyby się dowiedzieli, że ich najsympatyczniejszych zamknięto, aby za zniewierę skarać, mogliby oburzyć się na państwo i rząd i ewentualnie za czeskim przykładem przejść do nieprzyjaciela. Wytłumaczyć nie daliby sobie, że cała grupa poselska składa się z samych zdrajców i zaprzedańców.

O wiele łatwiej można kierunek polityczny skompromito-

wać przez wybór jednej ofiary, którą się na śmierć przeznacza. Gdy tę jedną ofiarę ogłosi się na podstawie prawomocnego wyroku za dowiedzionego i przekonanego zdrajcę, rzuca się plamę na całą grupę polityczną, która sprzyja ukrywaniu się zdrajców w jej łonie. Kierunek polityczny będzie podkopany. W polemice można będzie przeciw nim używać przezwiska zdrajców, boć jednego zdrajcę wydali, a co do innych tylko dowodów zabrakło: podejrzenie jednak zostało.

Ogół zaś z uszanowania dla wyroków sądowych będzie przekonany o winie rzeczywistej tego jednego kozła ofiarnego, a najuczciwszy człowiek osądzi go w duszy słowami: „Proszę! Ktoby się był tego po nim spodziewał?" Uwierzy w winę jednego i potępi go. Żeby zaś okazać wszelki brak sympatyi dla człowieka, odwróci się także i od stronnictwa, które zdrajcę zgrekwowanego wydało.

Zyskuje się na tem, bo się nienawistny kierunek polityczny zohydza, a żadnej niechęci ku rządowi czy państwu nie wywołuje w zwolennikach dotychczasowych. Tych zwolenników odwodzi się jednym zamachem od stronnictwa.

Dotychczasowe rozumowanie wydało mi się trafnem, ale dalej nie mogłem odkryć wyjaśnienia i do dziś dnia nie zdaję sobie z tego sprawy.

Jeżeli się chce uderzyć grupę polityczną, to się godzi w jej firmanta. Otóż urzędowym firmantem naszym jest Dr. Głąbiński. Dlaczego w niego nie uderzają? Zapewne ze wstydu, boć to były minister i rzeczywisty, tajny radca. Postawienie jego pod sąd z widokami na kratkę byłoby zadokumentowaniem publicznem, że Austrya nie ma warunków bytu, skoro w radzie Koronnej są zdrajcy przekonani.

Przytem, za co go zamykać, jaki pozór przeciw niemu znaleźć? Był wyznawcą i firmantem tegosamego kierunku politycznego, kiedy go powoływano do gabinetu. Byłoby osobliwą illustracyą bezprawia, gdyby go teraz chciano tracić za te przekonania, które przed kilku laty otwarły mu wstęp do rady Koronnej.

A z legionami nie wiele miał do czynienia, bo należał do sekcyi zachodniej, która wyekwipowała swój legion.
Jeżeli sprawa wschodniego legionu ma rzeczywiście dostarczyć pozoru do uderzenia w nasz kierunek polityczny, to pierwszym celem pocisków powinien być hr. Skarbek. On tworzył i za jego szefostwa w departamencie wojskowym sekcyi wschodniej rozwiązał się legion. Podobno był już aresztowany, ale później pozwolono mu w Wiedniu odpowiadać z wolnej stopy. Dla czego mnie nie puszczą na wolność z nakazem nie wydalania się z Ostrawy?
Na to pytanie miałem dwie odpowiedzi. Oto jestem synem chłopskim, a Skarbek starożytnym hrabią z Górki. Ród hrabiów z Górki ma być starożytniejszym od rodu burggrafów Hohenzollernów. Zapewne arystokratyzm austryacki czyni taką różnicę w obchodzeniu się z ludźmi. Bo jeżeli w rozwiązaniu legionu wschodniego ma tkwić zbrodnia, to przecież ja, który nic z tem do czynienia nie miałem, nie zasługuję na gnojenie w Karamatach, skoro główny działacz w tej sprawie pozostaje na wolności.
Gdy więc Skarbka ze szlachecko arystokratycznych motywów postanowiono jednak oszczędzić, to na ofiarę, celem utrącenia naszego kierunku politycznego ja się rzeczywiście nadaję. Byłem obok Głąbińskiego i Skarbka najważniejszą figurą poselską w stronnictwie, a że nie jestem spokrewniony z osobistościami, więc mnie najtaniej można kark ukręcić.
Tu jednak zachodzi trudność w nadaniu pozorów sprawiedliwości temu aktowi bezprawia. Sąd wojenny nie ma prawa sądzić mnie za zapatrywania głoszone przed zaprowadzeniem sądownictwa wojennego. Same te zapatrywania zaś nie mogą być uznane za potępienia godne, skoro przed kilku laty uczyniły Głąbińskiego zdolnym do piastowania teki ministeryalnej. Z legionami nie miałem zaś ani wprost ani pośre=

nie ma do czynienia, nie dlatego, żebym nie chciał, ale że mnie prze-ciwnicy polityczni do współudziału nie dopuścili.

Za co więc może mnie sądzić sąd wojenny? Za co mnie trzymają w więzieniu polowem?

Przypuszczenie, że blokowcy, socyaliści, demokraci i stańczycy mnie zadenuncyowali, wystarcza na zrozumienie mojego a-resztowania. Nie wystarcza na zrozumienie, dlaczego mnie tak długo trzymają w więzieniu. Toż rząd i Komenda armii miały czas dojść do przekonania, że trzymanie mnie pod pozorem udziału w roz-wiązaniu legionu zaczyna wyglądać na drwiny ze sprawiedliwości i prawa.

Dlaczego mnie trzymają w Koszycach i co to za wysokie czynniki tego sobie życzyły? Po długich poszukiwaniach zacząłem przypuszczać, że to rząd pruski. Rząd pruski mógł o mnie dowiedzieć się przez Niem-ców w Bielsku. Nietajna mogła być w Berlinie moja robota antyger-mańska w Białej i w Bielsku, mój udział w sprawie zatrzymania pochodu sokolego w Bielsku, 28 czerwca 1914, tuż przed wojną, i mój sposób wyzyskania tego gwałtu niemieckiego w prasie, na wiecach, w polityce. Może hakatyści bielscy, widząc przeciw sobie prawo i człowieka, który umie prawo wykorzystać w zupełności, uciekli się pod opiekuńcze skrzydła hakatystów berlińskich?

Tak jednak wielki respekt miałem przed austryackiem poczu-ciem prawa i sprawiedliwości, że aby zrozumieć swoje poło-żenie, musiałem uciekać się aż do takich domysłów.

Ale refleksya mówiła mi, że przypuszczenie berlińskiej interwencyi w mojej sprawie jednak trąci manią wielkości. A w takim razie zostawało przypuszczenie, że rząd zawrócił na system Metternicha, że chce utrącić najtańszą ofiarę, już to na prośby blokowców, już to z własnej chęci skompromitowania naszego kierunku politycz-nego. Tylko przypuszczalny powrót do systemu Metternicha, czynił mi zrozumiałem moje położenie.

W celach politycznych postanowiono kogoś z nas zgładzić. Ja

nadawałem się do tego celu najlepiej – nie mam krewnych, którzy by rządowi za to robili wymówki i nie mam żadnego wysokiego tytułu. A gdy obwinienie o współudział w rozwiązaniu legionu nie dało się do mnie zastosować, siedzę w więzieniu, aby rząd na spółkę z blokowcami znalazł czas do skonstruowania jakiegoś innego obwinienia.

Takie domysły chodziły mi po głowie, kiedym wracał eskortowany po raz ostatni przez żołnierza w najpełniejszym rynsztunku.

W celi zastałem nowego towarzysza. Był nim inż. Adolf Hauke-Bosak. Drobny, ale muskularny, o ziemistej cerze, wychudły, ze śladem zaledwie płowego wąsika i ciemną czupryną, traktował wszystko i wszystkich z góry. Nie umiejąc prawie w ząb po niemiecku, uparł się rozmawiać tylko po niemiecku z Dospieszilem. Jest to wprawdzie najlepsza metoda zdobycia wprawy w mówieniu.

Zapewniał, że dostał się tutaj tylko na chwilowy pobyt. Budował dla armii gościńce w Nowo Sądeckiem, a gdy trzeba było uciekać przed Moskalami, nie znalazł czasu na wypłacenie robotników, więc 80.000 Kor. zostało przy nim. Oddał je zarządowi wojskowemu i gdy się z nim rozliczy, wyjdzie na wolność. Tak się przedstawiało jego oskarżenie w jego ustach.

Później dopiero inni powiedzieli, że jest obwiniony o zdefraudowanie jeszcze większej sumy, o czynienie bezprawnych rekwizycyi między ludnością i o przywłaszczenie sobie bezprawne rangi porucznika-oberleutnanta.

Ile prawdy było w obwinieniu go o defraudacyę, nie wiem. Gdy jednak śledztwo jego od grudnia aż do mego uwolnienia w sierpniu nie było skończone, zdaje się, że w tym zarzucie była prawda. Że „rekwirował" przekonałem się sam, kiedy później pożyczał mi książek z „rekwizycyi" pochodzących, jak Historya literatur oryentalnych Baumgartena, poezye Herwegha i inne, których nie umiejący po niemiecku inżynier nie kupuje i chyba tylko zabiera.

Szarżę oficerską przywłaszczył sobie rzeczywiście, choć w wojsku nie służył i co najdziwniejsza, ten krok musiał mu ujść bezkarnie. Jako inżynier kolejowy miał rangę X, czyli dwie gwiazdki na kołnierzu. Dostawszy się jako inżynier pod władzę wojskową, przystosował tylko swój kolejowy uniform do wojskowego i już się ubrał w oficerską szarżę. Z chwilą jednak, kiedy naczelna komenda armii zaadresowała do niego list z podpisem arcyksięcia marszałka polnego, gdzie p. Haukego tytułuje „Oberleutnant", sąd musiał zaniechać ścigania go za to wykroczenie, bo to wyrażenie tytułu wystarczyło za jego udzielenie.

P. Hauke miał kilka kufrów rzeczy, eleganckie skunksy itd, nie miał jednak czystej koszuli na sobie, lecz tylko jägerowski wełniak, w którym z przed frontu przywiózł moc wszy. Przy zwyczajach więziennych, gdzie tylko w pewne dni można dobrać się do swoich własnych rzeczy, musiał kilka dni w tym brudzie i robactwie wytrzymać, przyczem zawszawił wszystkie sienniki i deki."

Nie nadał się też do naszego towarzystwa. Cały dzień leżał na siennikach, złożonych razem, w futrze i dżokejce. Opowiadań o Prościejowie i Nakoniecznym nie chciał słuchać, a na ich powtarzanie wprost się gniewał. Nie chciał też poniżyć się do robienia porządku. To też, gdy my mieliśmy dwa dni naszej pracy za sobą, podczas której układaliśmy i jego zawszawiony siennik na kupę, na trzeci dzień nie umietliśmy celi, ani nie oczyściliśmy miednicy. Cugsfirer, nie wiedząc co zrobić, przysłał ordonansa, aby przywrócić porządek.

Do tego przychodzi jedna ordynarna rzecz, ale w więzieniu ważna. Wikt wojskowy, opierający się na jedzeniu chleba, sprowadza zaburzenia w żołądku inteligenckim przez wytwarzanie mocne gazów. Trzeba przez tydzień najmniej mocno walczyć z nieznanemi zachwiankami, aby uregulować żołądek. P. Hauke nie myślał o tem. To też pozwoliwszy żołądkowi na swywolę, co kilka chwil wydawał nieprzyjemne tony i jeszcze nieprzyjemniejsze zapachy. Nie pomogły żadne perswazye, bo zaręczał, że się wstrzymać nie może. Ucieszyliśmy się też mocno, gdy w kilka dni później rząd

więzienia, stwierdziwszy jego prawa do godności oficerskiej, zabrał go od pospolitych Häftlingów do sąsiedniej celi, gdzie były dwie Spryce z zagiórokami.

Raz ~~podczas~~ powracając ze spaceru, zobaczyłem przed kancelaryą odbiorczą jakiegoś rosłego, starszego człowieka, który wyglądał na małomiasteczkowego dygnitarza. Niby przedsiębiorca niby bardzo bogaty chłop, lekko otyły, z twarzą okrągłą, rumianą, nieintelligencką, lecz zdradzającą żywą wrodzoną intelligencyę. Wąs czarny, włos biały. Gdym ujrzał tę postać, co do więzienia zupełnie się nie nadawała, mimowolnie zawołałem w duszy: „Itacy takie dostają się tutaj!”

Jakież więc było moje zdziwienie, gdy pod wieczór otwarto wrzeciądze i ten gość z pakunkiem w ręku przyszedł do nas na towarzysza!

Był to Jan Przewoźnik, gospodarz i przedsiębiorca budowli wodnych z Zarzecza na Śląsku. Zarzecze leży w powiecie bielskim niedaleko miasta Strumienia tuż na granicy Śląska pruskiego nad Wisłą. Mieszkańcy wsi pruskich mówią wprawdzie po polsku, lecz jako lateranie są dumni ze swojej pruskiej ojczyzny i jej porządków, a natrząsają się z „Polski,” której najobrzydliwszy wzór upatrują w Galicyi.

Kilku z nich, zazdroszcząc powodzenia p. Przewoźnikowi i nienawidząc go za jego polskie narodowe uczucia, wnieśli na niego denuncyacyę, że jest moskalofilem, że w czasie wojny był w Warszawie i tam oglądał siły wojenne rosyjskie, a wróciwszy opowiadał o niezwyciężoności Rosyi w jakimś szynku strumieńskim. Pobyt w Warszawie można uznać za szpiegostwo, a inne wynurzenia za zakłócenie spokoju publicznego, czyli w razie stwierdzenia rzeczy szubienica lub kulka.

P. Przewoźnik liczył już lat 56. Dostawszy się pierwszy raz w życiu do Kozy, o mało nie oszalał ze wstydu. Rozumiałem jego stan, ponieważ po jego rozmowie i stosunkach poznałem, że uchodzi w strumieńskim okręgu za matadora, jest rybą. człowiek, który własną pracą dorobił się znacznego majątku, przyzwyczajony jako przedsiębiorca do ustawicznego ruchu, a

nawykły do powszechnego uszanowania i do pewnego rodzaju moralnej dyktatury, musi w szóstym dziesiątku lat uczuć się wykolejonym, gdy się dostanie do więzienia. Uczucie ~~wstydu~~ zawstydzenia i upokorzenia jest na wsi silniejsze niż gdzie indziej, bo tam wszyscy się znają. Bardzo dobrze pamiętam te sprawy z Głogowca. Jest ono tem dotkliwsze, że nasz lud ma w sobie sporą dozę złośliwości i lubi urągać wyższym, gdy spadną z piedestału. Nagradza sobie w ten sposób długi czas uniżonego stosunku, jaki utrzymywał wobec osobistości, uznawanej za wpływową i znaczącą.

Do tego obawa przed śmiercią była u niego zupełnie uzasadnioną: toż dwóch krzywoprzysięzców wystarczy. Ja zaś znałem Ślązaków chłopów protestanckich, którzy przechodząc z pogardzanej polszczyzny na germanizm, wyzbywali się przytem odszczepieństwie wszelkich innych uczuć przyzwoitości i nader łatwo popełniali krzywoprzysięstwo. Ten sam gatunek musi być u lutrów pruskich, mówiących jeszcze po polsku, ale duszą zniemczałych.

Byłem więc o Przewoźnika niespokojny. Jedna rzecz dodawała mi otuchy. Zmyślenie o pobycie w Warszawie już podczas wojny i o powrocie stamtąd przez dwa kordony wojsk w bitwie, było trochę za ordynarne i dla laika nieprawdopodobne. Coby to musiał być za spryciarz, któryby się niepostrzeżenie przemknął tam i napowrót przez dwie wrogie armie! Powołując się na to niedorzeczne zmyślenie, można w sędziach zachwiać wiarę w prawdomówność świadków, choćby zaprzysiężonych, także i co do reszty obwinień.

Rozumie się, że niepokój swój ukryłem w sobie, a towarzyszowi wyjaśniałem, tłumaczyłem, wykazywałem, że mu się absolutnie nic nie stanie. Byłem mu prawdziwym pocieszycielem. To też w niedługim czasie odzyskał pełną swobodę umysłu i niejednokrotnie dziękował Bogu, że go zetknął z takimi towarzyszami.

Jak się ~~sto~~ okazało, dostał się do nas przez protekcję. Nasz klucznik Alois Matzke, Zugführer był ostrawskim kupczykiem, ożenionym z jakąś obywatelką orłowską, której rodzina była w powinowactwie

z Przewoźnikami. W uwzględnieniu próśb kuryna o umieszczenie go w „lepszem towarzystwie" dał go do naszej celi i pozwolił zatrzymać przy sobie zawiniątko z bielizną. Gdy to spostrzegłem, zacząłem nalegać o wydanie mi mojej walizki, bo sprzykrzyły mi się zabiegi ciągłe o każdą nową koszulę. Z początku nie zanosiło się na spełnienie mojej prośby.

Powoli zacząłem czuć nie urojone, ale rzeczywiste swędzenie po ciele. Jakoż dnia 17 grudnia – zapamiętałem tę datę – nocą po zdjęciu koszuli dziennej, zacząłem ją szczegółowo przeglądać. Jezu Chryste! wszy. Nie było innej ~~roboty, tylk~~ rady, tylko siedząc na pościeli wyławiać i wybijać.

Dziwna rzecz! Żadne poniżenie, żadne ograniczenie nie uzmysłowiło mi tak mojego upadku jak ten wypadek. Gdyby nie panowanie nad sobą, byłbym się rozpłakał. Jeśli robactwa nie wygubię, to chyba śmierć sobie zadam. Był to tak okropny wypadek, że datę jego zapamiętałem na zawsze.

Odtąd co wieczora robiliśmy z Przewoźnikiem każdy na swojej pościeli polowanie na robactwo. Na szczęście klęska ta pojawiła się już dawno w więzieniu i przybrała takie rozmiary, że komenda musiała wydać zarządzenia celem tępienia plugastwa. Z tych zarządzeń skorzystałem o tyle, żem wkrótce uzyskał zezwolenie na kąpiel i że mi nareszcie wydano całą walizkę z zawartością. Kąpiele brało się w budynku więziennym w suterynach, gdzie odprowadzała straż i pilnowała drzwi od bardzo podłej łaźni.

Pokazało się też, że jednak w więzieniu można sobie przy pomocy pieniędzy życie trochę osłodzić. P. Przewoźnik utaił trochę pieniędzy przed rewizyą i miał je przy sobie. A ponieważ klucznik patrzył na jego uczynki przez palce, więc niebawem pozwalał ordonansom zaglądać do nas rano. Ordonans czyścił p. Przewoźnikowi buty i w tajemnicy dostawał od niego dziesięciohalerzówkę. Wobec tej grzeczności żołnierze ordonansowi zaczęli z własnej ochoty zamiatać naszą celę. Ponieważ ja nie miałem grosza przy sobie, dawałem żołnierzom papierosy, a tak obaj z Przewoźnikiem

opłacaliśmy usługę dla nadzorców. Dla zamkniętych żołnierzy, którym pieniądze odebrano, papierosy i kilka cukierków miały większą wartość niż główna wygrana.

W ten sposób z protekcji p. Przewoźnika zaawansowaliśmy na „lepsze państwo” w więzieniu, bośmy mieli już usługę, a ja własną bieliznę. Wygubiliśmy też w kilku dniach plugastwo i mieliśmy bodaj w tem spokój.

Ruchliwy Przewoźnik nie umiał wysiedzieć w korze bezczynnie. A gdy brakło innego zajęcia, to jadał - niewiele, ale często. Czarną kawę rzadko pijał, brał natomiast białą kawę z kantyny tak samo jak ja. Około dziesiątej brał herbatę wzmocnioną rumem (tej i dupelt rum), do obiadu piwo, na podwieczorek herbatę, wieczorem do kolacji piwo.

Przytem ja wychodziłem, nie wiem najlepiej czy najgorzej. Brał bowiem i dla mnie herbaty wzmocnione i piwo po dwie flaszki, a gdym odmawiał, tak nalegał, prosił i przymykał, że to ostatni raz, że trudno było odmówić. Próbowałem perswazyą i prośbą, a gdy te nie skutkowały, obrażałem się na niego i przestałem z nim mówić. Ale i to niewiele pomogło, bo chociaż ja dałem powód obrazy, to po kilku godzinach boczenia się wzajemnego, on starszy człowiek i dotknięty zabierał się do przepraszania mnie, a gdym tylko dał poznać, że jestem skłonny do zgody, pod warunkiem, że zaniecha fundowania, on rozpromieniony biegł do drzwi i stukał, póki „post” nie zawołał ordonansa i już komenderował: „cwaj tej dupelt rum”, a mnie głaskał i zagadywał, aby do słowa nie dopuścić. Po dwóch tygodniach rozmaitych prób, żeby się od tego fundowania uwolnić, zobaczyłem, że to na nic się nie przyda i zgodziłem się z losem. Przez cały czas wspólnego pobytu z Przewoźnikiem pijałem na jego koszt regularnie przed południem herbatę z rumem, a do wieczerzy dwie flaszki piwa - nieregularnie zaś piwo do obiadu

i herbatę z rumem na podwieczorek.

Nie byłem z tego kontent, bo naprzód nienawidzę żadnej darmochy, a powtóre alkohol mi nie służy. Nie jestem abstynentem i raz na kilka tygodni w dobranem towarzystwie chętnie wychylę nawet więcej, ale za to muszę przez dłuższy czas nie brać do ust żadnego napoju. I ta regularność fundowania na równi z daremniarką mocno mnie gryzły. Niemniej nie było sposobu na wymówienie się. Przewoźnik nie umiał sam pić, a pić potrzebował i z nawyczki i z nudy.

Herbatę dostawaliśmy w kubkach blaszanych, a piwo piło się prosto z flaszki, bo szklanek nie dopuszczano.

Przewoźnik, uspokojony przezemnie co do swego losu, zaręczał, że nie posiedzi dłużej niż tydzień, ponieważ notaryusz ze Strumienia zabrał się do pracy równocześnie z jego aresztowaniem i wziął sobie na pomoc najdzielniejszego adwokata ostrawskiego Dra Ehrlicha. Pracują więc nad jego rychłem uwolnieniem.

Minął tydzień, a o uwolnieniu ani rozprawie nie słychać.

Co kilka dni przyjeżdżał do niego ktoś z rodziny: córka nauczycielka, zięć, lub krewny. Przywożono mu wędzone mięsiwa, kaczki, gęsi, sery, masło świeże i chleb półrazowy pszenny. Chłopisko zaraz tem częstował, a czasem z rozczulenia na łzy mu się zbierało. Ja masła cudzego nie jadam, ale chlebuś, który mi przypominał kulinarną sztukę maminą, zajadałem z ochotą i wdzięcznością.

P. Przewoźnik czuł pewną niechęć do Pospiszila. Nieraz mi mówił, że go uważa za niepewne indywiduum, że przypuszcza, iż słowa inkryminowane powiedział, ale teraz ze strachu i dla przypochlebienia się gotów nas denuncyować, więc powinniśmy być ostrożni. Ja, mimo czytania gazet, nie mówiłem o polityce z przekorności, więc nie miałem obawy, a gdy interlokutor nie porusza pewnego tematu, to nie chwytają go inni. Więc też i Przewoźnik nie czynił żadnych politycznych wynurzeń, któreby mogły nawet być przekręconemi. Wszelako jego uwaga

o chęci przypodobania się władzom okazała się rychło trafną, bo Pospiszil po dłuższem dumaniu raz ogłosił, że chce jako ochotnik zgłosić się do wojska. Uważał, że w ten sposób najlepiej zada kłam opowiadaniom o niesubordynacyjnych zachciankach lub zdradzieckiem usposobieniu.
Nie pochwalałem ani ganiłem tego zamiaru. Doradzać nie chciałem dlatego, że poznawszy przez opowiadanie osoby, któreby mogły świadczyć przeciw Pospiszilowi, nabrałem przekonania prawie, że go nie obciążą. Miałem więc nadzieję, że wyjdzie wolny, czyli że wzięty do wojska jako ochotnik żałować będzie potem swego kroku, bodaj ze względu na młodą żonę, porzuconą w domu. Zarzuć zaś nie miałem przyczyny. Zachowałem się więc wobec jego postanowienia obojętnie. On jednak coraz bardziej w niem się utrwalał i wyjednał sobie przybory piśmienne przez klucznika. Gdy się jednak zabrał do pisania, musiałem mu całe podanie podyktować, bo ten płynny i poprawny gadacz niemiecki nie umiał po niemiecku stylizować.

Główny protokół.

Dnia 23 grudnia o ósmej rano wezwano mnie do sędziego śledczego. Prowadził mnie żołnierz tylko umundurowany w pas z ładownicami (kuplę z patrontaszem) i w bagnet, ale bez karabinu. U sędziego leżały na biurku potworne koperty, czasem przepełnione, z napisami: Zamorski corpora delicti, Zamorski harmlose, Zamorski Americana, Zamorski Krakau, a ponadto olbrzymia koperta Podgórski i mniejsze z napisami: Olech, Matłosz, Surowiecka itd.
Dowiedziałem się, że pan auditor był w Białej i Bielsku, w Krakowie, Cieszynie i Wiedniu, że ściągał protokoły ze wszystkich moich znajomych, oraz zabrał ich wszystkie korrespondencye. Ponadto miał dokładne sprawozdania od policyi w Krakowie i w Bielsku, od starostwa w Białej i od prokuratoryi w Krakowie

w Cieszynie i w Wadowicach. Policya rozbiła też moje biurka w Krakowie i dostarczyła materyału na Americana oraz moich korespondencyi z ambasadą w Petersburgu i z generalnym Konsulatem w Kijowie, w sprawie aresztowania niektórych moich wyborców podolskich przez władze rosyjskie. Śmiać mi się chciało z tych przygotowań; ledwie powstrzymałem ironiczną uwagę, że szkoda iż Tarnopol jest tymczasem pod inwazyą, bo możnaby zażądać papierów ze Zbaraża, Tarnopola i Brzeżan.

Protokół ten był najnudniejszą sprawą ze wszystkich. Pan Sędzia pokazywał mi kolejno listy i zapiski moje własne, lub do mnie pisane, oraz listy i notatki wymienionych osób i żądał mego zeznania co do uwag politycznych, w nich zawartych.

Najgorsze były protokoły z posiedzeń Komitetów, wydziałów, rad naczelnych i zjazdów, zwoływanych przeze mnie w ostatnich latach aż do wybuchu wojny. O istnieniu niektórych zapomniałem, o innych wiedziałem. Te protokoły, a raczej notatki, czynione przez p. Petrego podczas posiedzenia, nie były dosłowne, lecz zawierały pewne wyrażenia tz. szlagworty, na podstawie których p. Petry redagował potem urzędową stylizacyę protokołów do gazet. Owe szlagworty brzmiały często groźnie i rewolucyjnie, choć w tekscie przemówienia wyglądały zupełnie inaczej. Ale na darmo apelowałem do urzędowych protokołów, drukowanych w gazetach, pan sędzia kazał wyjaśniać każde słowo wypowiedziane przez kogo innego i notowane przez innych.

Z tych zapisków najstraszniejszą okazała się gruba notatka Podgórskiego, w której zawierały się zapiski ze wszystkich zgromadzeń i posiedzeń, w jakich ten profesor brał udział. A notował sobie chłopisko tylko szlagworty, jakoby tytuły okresów, jakich ołówkiem nie mógł złowić i notował po swojemu, a nie wyrazami mowcy.

Ze zdumieniem przypomniałem sobie, ile to zrobiłem posiedzeń

i zgromadzeń w ostatnich miesiącach przed wojną, które gdzieś zostały zanotowane. A ile ich się odbyło takich, z których notatek nie ma? To ja naprawdę prowadziłem ruchliwe i czynne życie.

Najważniejsze z tych wyjaśnień były trzy:

Pierwsze tyczyło mojego przemówienia w Tarnowie, czy w Rzeszowie, gdzie wyjaśniając stosunki między monarchią, a Niemcami i samolubstwo Niemiec, miałem wyrazić się: po co arcyksiążę następca tronu jeździł do Springen? W tonie tego pytania upatrywano antimonarchiczny brak uszanowania dla dynastyi panującej.

Musiałem długo zeznawać, jak to Rosya przez powtarzane corocznie mobilizacye zmuszała Austryę do wzajemnych mobilizacyi, podcinając jej życie ekonomiczne i chcąc ją doprowadzić do bankructwa. W zrozumieniu tego niebezpieczeństwa arcyksiążę chciał wypowiedzieć wojnę Rosyi, bo jeszcze kilka takich mobilizacyi, a Austrya zbankrutuje. Gdy rokowania między rządami w Wiedniu i w Berlinie nie doprowadziły do zapewnienia pomocy Niemiec, które oświadczały, że w razie zaczepnej wojny ze strony Austryi Niemcy nie uznają casus foederis, arcyksiążę udał się do cesarza niemieckiego. Przyjęto go nie w stolicy, lecz na polowaniu w Springen, a cesarz Wilhelm miał według powszechnie powtarzanej wersyi po Wiedniu przywitać sojusznika słowami: Du rasselst zu viel mit meinem Säbel dort in Wien.

Tych słów jednak pan sędzia nie przyjął do protokołu. Nie mniej wyjaśniłem, że zanotowane słowa rzekomo moje: „Po co on tam jeździł" są nie mojem wyrażeniem, lecz streszczeniem części mego przemówienia, uczynionem dowolnie przez zapisywacza.

Drugie wyjaśnienie było jeszcze trudniejsze. W przemówieniu prof. Wierzbickiego z Tarnowa zanotował Podgórski frazes: „Precz z hasłem: Przy Tobie Panie stoimy i stać chcemy." Zdrętwiałem. Ten niedopłynny Wierzbicki nie ma organu w głosie i wyrazów w ustach na wygłoszenie takiego zdania. Że raz jest oficerem rezer=

wowym może na podstawie takiej notatki dostać się pod sąd doraźny. Zacząłem długo opowiadać o wyszukanej delikatności wyrażeń u Wierzbickiego, a ten fraces wytłumaczyłem jako indywidualne streszczenie, uczynione dla siebie przez zapisywacza, a oddające myśl, że hasło: Przy Tobie stoimy, obowiązuje tylko Polaków galicyjskich, nie można zaś łudzić się jakoby Polacy z Królestwa mieli obowiązek pruć się do niego zobowiązanymi.

W sprawie stosunku do Niemiec opowiedziałem, że według mego przekonania odmowa Niemiec co do wspólnej wojny zaczepnej przeciw Rosyi nie mogła zostać tajemnicą. Pewność, że monarchia jest osamotniona i że nie poważy się sama wypowiedzieć wojny Rosyi, doprowadziła do prowokacyi rosyjskich, a rozzuchwaliła zupełnie Serbię. Przecież całe miesiące trwał stan prowokacyjny, w którym dyplomacyi austryackiej zależało na tem, aby Rosyę zmusić do wydania wojny, a przez to uzyskać ów casus foederis, którego Niemcy w innych okolicznościach nie chciały uznać.

Tego wyjaśnienia nie chciał p. sędzia przyjąć do protokołu, a ja również nie nalegałem, bo mi brzmienie protokołu było zupełnie obojętnem. Wiedziałem, że jeżeli system rządowy zmierza do odebrania mi życia, to żadna obrona nie pomoże – jeżeli będzie inaczej, to znajdę czas w toku rozprawy na wyjaśnienie tych okoliczności. W sprawie niemieckiej zgodził się sędzia śledczy tylko na umieszczenie mego zapatrywania, że uważam niemiecką hegemonię nad światem za „für die Selbständigkeit der Monarchie schädlich und für das Polentum verhängnisvoll."

Trzecią trudną sprawą dla mnie były listy inż. Kazimierza Macha z Chicago. Poznałem tego pana jako inżyniera rady powiatowej w Ropczycach. Kiedy do mnie z Ameryki napisał, starałem się za jego pośrednictwem pozyskać tam prenumeratorów dla mojej gazetki i przygotować grunt dla zamierzonej przez mnie podróży agitacyjnej po Ameryce. Ale ponieważ od roku 1910 wojna europejska wisiała w powietrzu, a gazety

tamtejsze zajmowały się nią po swojemu, więc p. Mach odpowiedziawszy kilka słowami na moje konkretne pytania rozpisywał się na sążniowych papierach o sprawie polskiej, o oryentacyi i td. że zaś mówił z amerykańskiego stanowiska, więc obok ataków na Rosyę i Prusy były tam i wyrażenia, jak „Austrya zdradza polską sprawę", „Austrya oszukuje Polaków" i td.

Zapomniałem był o tych listach, jakoteż i o korrespondencyach p. Osady z Chicago, gdy mi je wydobyto ze starych papierów. Po sposobie formułowania pytań poznałem, że podejrzywają nas o jakieś wszechpolskie sprzysiężenie, w którem ja przeprowadzałem zakonspirowanie Polaków amerykańskich. Gdybym był warszawiakiem, a władze rosyjskie prowadziły przeciw mnie śledztwo o spisek, rozumiałbym. Ale w konstytucyjnej Austryi szukać sprzysiężenia wydało mi się śmiesznem. Widziałem w tem tylko dowód, że świeżo wprowadzany system metternichowski zarazem z swoją samowolą doznaje równocześnie i tych samych obaw.

Rzecz była o tyle trudna, że wiedziałem, iż p. Mach wrócił do Galicyi. Musiałem tak sprawę omawiać, żeby jego zbyt ostre słowa wyglądały jako groty, które poniosły daleko poza cel zamierzony. Do tego przychodziły obficie dołączane wycinki z amerykańskich gazet polskich, ziejących tamtejszym stylem przeciw już to Austryi, już to Niemcom lub Rosyi. Ale ta różnorodność kierunków usprawiedliwiała właśnie inż. Macha, bo każdy widział dowodnie, że on mi przysyła wszystkie głosy za i przeciw, celem informowania mnie, a nie dla zaznaczenia swojego przekonania przeciwpaństwowego.

Nawet odezwę p. Osady, wydaną już w początkach wojny, chciano mi za złe poczytać, ale na tekście wykazałem, że odezwa ta godząc we wszystkich trzech zaborców, oszczędza Austryę. Pan sędzia, który popodkreślał był w niej pewne zdania, obciążające mnie, musiał jeszcze użyć czerwonej i niebieskiej kredki, ażeby podkreślić inne, przeoczone wyrażenia.

Ponadto musiałem wypowiadać swoje zdanie o wszystkich wynurzeniach listowych, jakie moi znajomi dostali od swoich znajomych, a jakie im podczas rewizyi zabrano.

Ważnym dokumentem była kartka p. Domagalskiego z Cieszyna, w której mnie uwiadamia, że na polecenie p. Biegi posyła mi wiadome sprawozdania. Musiałem mocno zaręczać, że to się odnosić może tylko do sprawozdań sekcyi śląskiej N. K. N. a żadną miarą do sprawozdania sekcyi wschodniej. Dr. Knopf nakoniec powiedział, że i on sam jest tego zdania, bo po przeprowadzeniu rewizyi u p. Domagalskiego nie znalazł nic podejrzanego.

Inaczej było w Białej i w Bielsku. Tam zastał prawie u wszystkich Polaków podręczniki do języka rosyjskiego, a to już świadczy o ich anti państwowem usposobieniu. Jako przywódca polityczny tamtejszej polonii zeznałem, że po cofnięciu się wojsk austryackich na linię Dunajca, kiedy rozeszły się wieści o tem, że wojska mają ewentualnie cofnąć się na linię Beczwy, Hranice-Mährisch-Weisskirchen, księgarze tamtejsi sprowadzili mnóstwo podręczników do nauki języka rosyjskiego, a ludność tak polska jak niemiecka zakupywała je masami, ażeby na wypadek możliwej inwazyi módz się z Moskalami „sprachlich verständigen". Gdyby p. sędzia był robił rewizyę między Niemcami, byłby tam znacznie więcej tych podręczników znalazł, niż między Polakami.

Wogóle stwierdził p. sędzia, że według nabytego w Białej przekonania wszyscy tamtejsi Polacy są z przyrodzenia zdrajcami stanu. Taki lęk ich chwytał za jego pojawieniem się, iż można było wszystkich aresztować, bo tylko poczuwanie się do winy może wywołać strach paniczny. Prócz tego widocznem było, iż ~~ni~~ chcą się uchylić od służby wojskowej. Dla czego wielu moich przyjaciół stawało do asenterunku w Żywcu, Oświęcimiu, Chrzanowie, a nie chcieli stawać w Białej? Zeznałem, że o praktykach uwalniania od służby wojskowej nic nie wiem, że jeżeli niektóry nie chcieli do branki stawać w Białej, to dla tego, iż czując się za słabymi na ponoszenie trudów wojennych bali się, ażeby niemiecka Komisya z szowinistycznej

nienawiści mimo wszystko nie skazała ich na służbę, któraby była tylko zniszczeniem zdrowia.

Spisywanie protokołu trwało 23 grudnia przez cały dzień z przerwą obiadową tylko, pełnych 10 godzin, oraz we wilię od ósmej rano do trzeciej popołudniu bez przerwy.

Między innymi wypytywał mnie o Komitet, który w Białej dostarczał cywilnych ubrań i pieniędzy na drogę tym legionistom wschodnim, którzy po rozwiązaniu legionu nie byli zobowiązani, a dobrowolnie nie chcieli przystąpić do landsturmu.

Odpowiedziałem, że nie obcując z ludźmi, nic nie wiem o niczem, chociaż wiedziałem, że był to tensam komitet, który się zajmował werbunkiem do legionów i ekwipowaniem legionistów. Należeli doń prawie wyłącznie moi przeciwnicy polityczni, ale niech padną na inny język! Niemniej zastanowiło mnie to, że i zwolennicy stronnictwa, które mnie wsadziło do kozy, tak łatwo mogli do niej się dostać.

Podejrzywał też p. sędzia, że miałem z przyjaciółmi umówione wyrażenia, które umieszczone w obojętnym zresztą liście podawały mi w tajny sposób jakieś ważne wiadomości. Naprowadził go na tę myśl liścik Podgórskiego, który pisał pisząc, że w Chrzanowie go nie wzięto do wojska, wyraził się: „jestem wolny jak ptaszek". Kto tak pisze? pytał sędzia. I znowu musiałem wyjaśniać, jak umiałem.

Między moimi papierami znalazł się urywek z notatek, jakie czyniłem 16 sierpnia 1914 podczas owego historycznego posiedzenia Koła polskiego. Po coś to pisał? pytał sędzia. Pisałem, bo zawsze robię sobie notatki ze wszystkich posiedzeń, będąc publicystą i polemistą w walce partyjnej.

Ale nie poto Pan pisał, ażeby posłać do Warszawy? pyta sędzia. Co? do Warszawy? A po co? Więc sędzia dyktuje do ~~paragrafu~~ protokołu: „Ad N° 1175 stellt der Angeklagte fest, dass er diese Aufzeichnungen nicht zum Zwecke dieselben nach Warschau bringen zu lassen verfertigt hat." Przerywam mu, że to niepotrzebne, on się upiera, że przecież słowa te oddają,

dokładnie moją odpowiedź. Tłumaczę, że pytanie było niestosownie postawione i po dłuższej sprzeczce wyprowadzam, że przecież każdemu oficerowi, wracającemu z frontu z mapami, można postawić pytanie, czy nabył te mapy w celu sprzedania ich nieprzyjacielowi, ale jego przeczącej odpowiedzi nie umieszcza się w protokole, bo w takim razie ten oficer już z więzienia nie wyjdzie. Słowa protokołu, że mapy jego nie miały być sprzedane nieprzyjacielowi - aczkolwiek z prawdą zgodne i jego odpowiedź dokładnie oddające, muszą każdego komendanta i sędziego do śledzenia, jakie stosunki mogą go łączyć z wymienionym w protokole nieprzyjacielem i narażą najniewinniejszego człowieka na wieczne śledztwo.

Pan sędzia udał, że tego nie rozumie i został przy swojem. Słowa te wciągnięto do protokołu. Myślę, że którykolwiek nowy sędzia, ilekroć weźmie protokół w ręce, a zobaczy słowo Warszawa, zaraz musi sobie powiedzieć, że jednak w mojej sprawie coś jest niewyraźnego i że trzeba dalej śledzić za mojemi tajnemi porozumiewaniami się z Warszawą.

Nie potrafię wyliczyć wszystkiego, o co byłem pytany. Gdybym był miał przy sobie kogoś zaufanego, byłbym z nim obgadał jeszcze raz te rzeczy i na długo je sobie zapamiętał. Mam jednak wrażenie, że te szczegóły były najważniejszemi. Nie będę notował drobiazgów, jak pokazywanie mi jakiegoś listu i pytanie czy znam pismo? Na przeczącą odpowiedź dowiedziałem się, że to list pani Stroff z Wiednia do panny Surowieckiej.

Dosyć długa rozprawa była na temat sprawozdania sekcyi wschodniej N. K. N. Jeden egzemplarz tego sprawozdania zabrano u panny Surowieckiej, maszynowem pismem sporządzony, ona zaś zeznała, że ma go od D^ra Tadeusza Mikułowskiego. Odpowiedziałem, że nic o tem nie wiem, a D^ra Mikułowskiego od czasu jak się przeniósł do Krakowa nie widywałem, ani nie byłem z nim w korrespondencyi tem więcej, że odstrychnął się od naszego stronnictwa, a przysunął się ku temu odłamowi centrum,

który się skupiał do koła „Rzeczypospolitej."

Kto pisał to sprawozdanie? Odpowiedziałem, że przypuszczałem, iż hr. Skarbek, bo kilkakrotnie autor mówi o sobie w pierwszej osobie, a wiadomo, że szefem departamentu wojskowego w sekcyi wschodniej był hr. Skarbek. Wszelako na pewno nic nie wiem i najlepiej o tem wywiedzieć się u członków sekcyi.

Czy uważam ten akt za występny? Bynajmniej, przeciwnie solidaryzuję się z nim w zupełności, aczkolwiek ani do czynów w nim opowiedzianych, ani do jego autorstwa nie przykładałem ręki.

Na to mi p. sędzia powiedział, że tekst tego sprawozdania mieści w sobie antipaństwowe, zdradzieckie tendencye mimo bardzo lojalnych pozorów i hołdów w stronę arcyksięcia Marszałka polnego, oraz w stronę dynastyi. Odpowiedziałem, że między wierszami czytać nie umiem, a to co tam wyraźnie napisano, nie wywołało we mnie żadnych zastrzeżeń i wątpliwości.

„Dlaczego Pan więc zaniechał rozdawania tego pisma między znajomych?" Dlatego, żem zobaczył brak drukarni, z której pismo wyszło, i obawiałem się za to kłopotów, chociaż przypisywałem ten brak tylko jakiemuś niedopatrzeniu. Ale nie uważ niepoprawności, a rozszerzanie pisma, nieodpowiadającego przepisom drukarskim uważam za postępek incorrect.

„Pan Zieliński zeznał, że się Pan ucieszył mocno pojawieniem się tego sprawozdania i zachwalał je bardzo – wiele innych osób zeznało, że się Pan do tego pisma odnosił obojętnie i bez zainteresowania – a panna Surowiecka zeznała, że Pan był rozdrażniony i zagniewany (ungehalten) i chciał je spalić. Które z tych trzech zeznań jest prawdziwe?"

Wszystkie trzy, odpowiedziałem. Okazała się nikczemna broszura socyalistyczna, napisana przez Dra Kota pt. „Pod sąd", gdzie przypisuje narodowym demokratom najohydniejsze plany i intrygi zdradzieckie, dlatego rzeczowe przedstawienie tej sprawy powitałem jako wypadek pożądany i potrzebny. Gdy jednak prasa o tem

dłuższy czas nie brała, zacząłem uważać ten krok za bezcelowy, skoro nie wpływa na sprostowanie oszczerstw. Wreszcie, kiedy mi zwrócono uwagę na brak drukarni i miejsca druku, zacząłem w tem upatrywać coś nielegalnego, a nie spaliłem tylko dlatego, żem nie przywiązywał do rzeczy żadnej wagi.

Z całego szeregu pytań i podrywek nabrałem przekonania, że władze wojskowe przypuszczają, jakoby istniał tajny związek i to w porozumieniu z Warszawą, mający na celu osłabienie armii austryackiej, już to przez rozwiązanie ochotniczej formacyi legionu wschodniego, już też przez karygodne wykręcanie powołanych od służby wojskowej.

A kiedy koło trzeciej popołudniu we wilię przerobiliśmy w ten sposób setki listów, papierów, notatek, druków, Dr Knopf uznał protokół za skończony.

Wtedy zgłosiłem się, że chcę dodać protest na końcu: Wszystkie bowiem niby to karygodne oświadczenia, mowy, listy, artykuły pochodzą z lat i miesięcy przedwojennych. Pisane były wtedy, kiedy takie przekonania uchodziły za dozwolone, czego najlepszym dowodem jest fakt, że prokuratorya nietylko nie wytaczała za nie dochodzeń, ale nawet ich nie konfiskowała. Jeżeli więc jest w nich nawet coś karygodnego, to sądzenie tej karygodności nie należy do sądu wojennego, lecz do zwykłych sądów cywilnych. Wobec tego protestuję przeciw niewłaściwemu sądowi, przeciw niewłaściwej ustawie karnej, oraz przeciwko trzymaniu mnie w aresztach sądu polowego.

W miarę jak mówiłem, sędzia zaczął ~~mi~~ się coraz bardziej wpatrywać we mnie, oczy jego przybierały coraz wyraźniejszy wyraz, koło ust marszczyła mu się skóra, aż wreszcie cała twarz przybrała wyraz tak szatańsko złośliwy, tak tygrysio koci, że zdumiałem się nad taką zmianą.

Na uczynioną mi jakąś ironiczną uwagę machnąłem ręką i powiedziałem, że jeżeli jemu ten protest nie przypada do smaku,

mogę się go wyrzec: chwyciłem pióro i podpisałem protokół.

W tej chwilowości obaczyłem nie wojennego sędziego śledczego, lecz zwykłego przeciwnika politycznego z Poale-Sion, który dostał wroga w ręce i chce wywrzeć zemstę. Nie upominałem się więc o moje prawa, aby nie pokazać, że się tej zemsty boję.

Wigilijny mój protokół był rano przerwany na jaką godzinę, bo feldwebel przyniósł akta jakieś mówiąc, że pan podpułkownik żąda, żeby sprawę natychmiast załatwić, bo się ciągnie zbyt długo. Ponieważ mój sędzia dyktował przy mnie protokolantowi, więc słyszałem wszystko.

Chodziło o legionistę Maryana Piechocińskiego, obwinionego o szpiegostwo. Dr. Knopf twierdził, że szpiegostwo jest udowodnione, że poprzednik jego, który badał tę sprawę, popełnił niesłychaną omyłkę przez wzięcie tej sprawy pod postępowanie śledcze (Ermittlungsverfahren) zamiast pod sąd doraźny i podyktował stosowny wniosek dla oskarżyciela na rozprawę. Aha! tak się ludzką śmierć dekretuje.

Przyszedłem do celi po trzeciej, ale zastałem swój ~~zoso~~ obiad, złożony z zupy ziemniaczanej, która się przemieniła w gęstą sołuduchę, stojąc trzy godziny. Dzień był pogodny, czerwonym blaskiem zimowego słońca rozjaśniony i miał się ku schyłkowi.

Wkrótce też przyniesiono nam wieczorny posiłek przynajmniej o dwie godziny wcześniej niż zwykle. Była to bowiem wilia, święty wieczór. Dnia tego rozluźniła się dyscyplina więzienia wojskowego. Zamiast jęczmiennego chleba dano każdemu białą struclkę, a zamiast czarnej kawy lekki poncz[y]k. Klucznik przybrał wyraz przyjacielsko serdeczny, zaniechano bieganiny po korytarzach, krzyków i groźnej komendy. ~~Powoli~~ Nie zamykano nas zaraz po otwarciu drzwi i pozwalano wyjść na korytarz. Więźniowie zrobili się cichszymi, weselszymi i niejako lepszymi. Można było gawędzić, a uzbrojony „post" po ojcowsku patrzał

na to wyłamywanie się spod dyscypliny, klucznik miał na wszystko pobłażliwy uśmiech. Więzienie przemieniało się powoli w jedną rodzinę.

Dziwną moc ma święty wieczór wigilijny.

Wytworzyła się jakaś atmosfera zbratania ludzkiego, której nie można było się oprzeć. Ja miałem ochotę wycałować obu towarzyszów i powiedzieć im coś bardzo ciepłego i bardzo dobrego, a nie czułem w sobie śladu zawziętości, urazy, żalu do nikogo, nawet do nieznanych mi osobiście potwarców, którzy mnie za kratą osadzili. Przebaczenie, zbratanie i jakaś litość nad całem człowieczeństwem unosiła się w powietrzu. Zwykli żołnierze, zamknięci może za rzeczywiste zbrodnie, stali się prawie dziećmi. Jakieś „oczekiwanie tęskne i radosne" można im było wyczytać z twarzy, z ruchów, z całego zachowania się.

Cugsfirer chodził od celi do celi, pytając, czy kto nie życzy sobie jakiegoś sprawunku. Myśmy zamówili sobie każdy po litrze wina, trochę gruszek, pomarańcz, orzechów, tudzież po jednej świeczce.

Około szóstej przyniesiono nam wieczerzę z kantyny, karpia w tartej bułce i sałatę kartoflaną, a że i sprawunki już były, zabraliśmy się do wieczerzy.

Świeczki ustawiliśmy na blaszanym pancerzu pieca i usiedliśmy do stołu. Oni siedzieli obaj na spiętrzonych siennikach, a ja na stołku umywalnianym, okrytym cynkową blachą. Przewoźnik wydobył przez klucznika jakiś opłatek i wstawszy, chciał coś powiedzieć, ale łzy mu się rzuciły do oczu, więc usiadł. Za jego przykładem Pospiszil zaczął chlipać. Jeden i drugi bąkał od czasu do czasu, co tam w domu rodzina robi, jak z pewnością zasiadając do wigilii popłakuje i te rozważania nie dały biedakom zapanować nad sobą.

Zaczem bez przemów połamaliśmy się opłatkiem, a Przewoźnik, całując mnie, oparł się o moje ramię jak bezsilne dziecko, cu-

kające podpory i zapłakał głośno.

W milczeniu siedliśmy ponownie i w milczeniu zajadaliśmy karpia. Paliły się trzy świeczki w kącie przy drzwiach, odbijając katafalkowo od elektrycznego światła na suficie, a my w milczeniu zabraliśmy się do owoców, przyczem ten i ów pociągał nosem lub tłumił chlipanie.

I było nad czem płakać. Pospisil zostawił młodą żonę, która zapewne przepłakuje ten pierwszy wieczór wigilijny po zamąż pójściu. Takiego dożyła święta rodzinnego. Przewoźnik zostawił całą rodzinę, okrytą wstydem przez jego aresztowanie. Ja jeden nie miałem za czem płakać, ale za to nad czem zgryzać. Gdzie matka i siostra pod inwazją? Czy żyją? Czy mają dach gościnny nad głową, czy mają cokolwiek wziąć do ust w ten wieczór? To szczęście, że o mojem aresztowaniu nie wiedzą i że ja w niczem nie pomnażam ich zgryzoty.

Inaczej to bywało niegdyś w naszej chałupie – ale to dawno, za czasów pokoju – i jeszcze dawniej za życia śp. ojca.

A do tych wspomnień niepowrotnych przychodziła zmora śmierci, wisząca nad każdym z nas. Czy wyjdziemy stąd cało? Czy dożyjemy innej jakiejś, szczęśliwszej wilii? Czy te płonące świeczki to symbol naszego życia nadal, czy też świece nad trumną zapalone w święty wieczór, bo nad straconym nikt nie pali świateł.

Więc smutek zamykał nam usta, a każdy zasklepił się we własnej zadumie. Siedzieliśmy obok siebie, ale myślami odlatywaliśmy na setki mil, aby znowu się zejść w celi i na miejscu tracenia.

Ale przecież jakieś ukojenie spływało na więźniów. Coś jakby wiara, że przecież i ci co nas obwiniają i ci co sądzić będą, są ludźmi, że w gronie rodziny odprawiają teraz to samo święto, że są tylko tkliwymi ojcami i mężami, więc to niepodobna, aby temi sami usty, co dziecięcą główkę dziś całują, wypowiadali wyrok śmierci na ludzi innych, mających takie samo prawo do życia i takie same przywiązania. Jakaś nadzieja, choć słaba, ale kojąca niby cicha

muzyczka fletów rozlewała się na głowy i serca, które choć smutne, nie były jednak zgorzkniałe.

W milczeniu spożyliśmy wieczerzę, pociągając gęsto wina z flaszek. Następnie ja moim zdartym głosem zacząłem intonować kolędy, a Przewoźnik pomrukiwał przy znanych sobie melodyach. Pospisil potem wyćwiczonym tenorem śpiewał udatnie hanackie pieśni „godnie", ogromnie podobne do naszych kolęd. Słyszeliśmy też, że i w innych celach zamknięci więźniowie kolędują, a choć śpiewy są zabronione w więzieniu, dzisiaj na te śpiewy pozwalano. Więc napływały od pola z różnych okien te same pieśni, które wierni śpiewają po tysiącach sioł dalekich, jak ziemia słowiańska długa i szeroka. A biedny żołnierz rezerwista, który chodził po ciemnym dziedzińcu jako strażnik, poglądał w te same oświetlone okienka więzienia, jak codzień, ale nie widział w tych głosach przekroczenia dyscypliny, bo mu stanęła przed oczy jego chata i żona i dzieci, płaczące za ojcem, który poszedł na wojnę, więc tylko z żalu zapłakał, dźwigając karabin.

Na drugi dzień wyprowadzono nas na spacer jak zwykle, tylko personal nadzorczy nie krzyczał, nie upominał, nie komenderował. Nadzorcy przypominali raczej nauczycieli życzliwych na boisku szkolnem podczas przerwy, niżeli ostrych funkcyonaryuszy więzienia.

Wyniesiono jakieś stoły na dziedziniec i składano na nich pakiety. Personal kancelaryi więziennej wyszedł również i więźniom kazano stanąć w dwuszeregu. Zaczęło się odczytywanie nazwisk. Wywołany opuszczał szereg i szedł ku stołom, gdzie wedle wykazu wręczano mu kawał kiełbasy, bułkę, flaszkę piwa, papierosy lub owoce.

Coto jest? Czyżby pomiędzy tylu dziełami dobroczynnemi, jakie wojna powołała do życia, powstało także stowarzyszenie dla urządzenia więźniom gwiazdki? Może jakaś oryginalna dusza litościwa puściła się na ten rodzaj chrześcijańskiego miłosierdzia?

Później dowiedziałem się, że zarząd więzienia pozwolił aresztantom,

mającym pieniądze, na zamówienie sobie specyałów świątecznych, wedle ochoty i środków. My, którzyśmy mieli pieniądze w kantynie, nie potrzebowaliśmy kupować nic przez zarząd, bo dostawaliśmy sprawunki codziennie. Asystowaliśmy tylko nieruchomo na chłodzie temu obdzielaniu naszych współtowarzyszów.

Ale od świętego Szczepana wrócił stary porządek, rygor, surowość, komenda, bieganina po korytarzach. Tylko nasz klucznik Matzke pozostał dalej życzliwym dla nas, za co też staraliśmy się być kryminalnie najpoprawniejszymi, aby na niego nie ściągnąć kary od wyższych.

Zaczęły się wlec dni posępne, jednostajne, ponure, beznadziejne. Przewoźnik, który spodziewał się, że jego przyjaciele rychło go wyrwą z więzienia, który był pewny, że ~~na~~ święta przepędzi wśród rodziny, zaczął tracić wszelką nadzieję. Przychodzili do niego często znajomi i członkowie rodziny, przynosząc domowe specyały i pocieszali, że notaryusz jeździ w jego sprawie, że adwokat przynagla w sądzie, że jednak sąd jeszcze śledztwa nie ukończył. A pani Pospiszilowa przyjeżdżała kilka razy do mnie, przywożąc czystą bieliznę i przysmaki.

Widywanie się z odwiedzającymi odbywało się w kancelaryi. Więźnia odprowadzał żołnierz służbowy, a podczas całej rozmowy asystował feldwebel. Rozmowa musiała toczyć się głośno – wszystko co więzień dostawał od gościa lub mu dawał, musiało być ściśle zrewidowane, aby przeszkodzić przemycaniu jakichkolwiek nieocenzurowanych wiadomości, któreby mogły ułatwić zmowę ze świadkami lub coś podobnego i utrudnić śledztwo.

Urozmaiceniem były dosyć częste lustracye przełożonych. Czasem w otwartych gwałtownie drzwiach stawał rotmistrz Kościcki w towarzystwie oberjegera, lekarza i klucznika, popatrzył ponuro i szedł dalej. ~~Raz~~ Niekiedy zjawiał się major audytor Bielski, wypytywał każdego, jak długo siedzi, notował i obiecywał, że sprawę przyspieszy. Raz zaglądnął jakiś jenerał od kawaleryi, tytułowany ekscellencyą i pytał każdego, za co zamknięty?) Gdy mu powiedziałem, że za „Hochverrat", odwrócił się z obrzydzeniem odemnie do towarzyszów, którzy opowiadali

o plotkach, oszczerstwach i swojej niewinności.

Zapowiadano też wizytę lekarza sztabowego, myto kilkakrotnie wszystkie podłogi, a nawet okna, czekano z bijącem sercem, ale zapowiedziana godzina przechodziła bez odwiedzin. Czekano jeszcze kilka godzin, wreszcie wieczorem otrzymywano telefoniczną wiadomość, że pan Oberstabsarzt nie przyjdzie dzisiaj, bo jest zajęty.

Spacery odbywały się regularnie. Kiedy początkowo wydano przepis, że w celach nie wolno palić tytoniu, a zato na dziedzińcu wolno, zmieniono znowu to rozporządzenie i zabroniono palenia wszystkim, którzy nie mają pisemnego pozwolenia od sędziego. Kilku żołnierzy, którzy tajemnie podczas przechadzki „pociągali szluczka", otrzymało „karę" szpangów."

Chodziłem regularnie w parze z Brzechowiakiem. Była to najprzyjemniejsza chwila w tej szarudze. Chodzić z człowiekiem, któremu się ufa, nie bać się denuncyacyi z przekręconych wyrazów, jest to jednak znaczna ulga. Wytworzył się też obyczaj, że skoro pojawiłem się na dziedzińcu, nasza grupka przychodziła do mnie i formowaliśmy kilka par, zwanych intelligencyą. Prócz mojej pary należeli do grupy: budowniczy Kierznowski, jednoroczny Herold, inż. Hauke, jako stary inwentarz więzienny, a nadto uzupełniała się grupa innymi. Pan Srokowski z Sosnowca, prezes tamtejszego Komitetu obywatelskiego, oraz jego współtowarzysz młody inżynier nieznanego mi nazwiska, należeli do nas przez czas trzytygodniowego pobytu w więzieniu. Zamknięto ich, a później internowano zato, że po odejściu wojsk rosyjskich p. Srokowski, objąwszy władzę w bezpańskiem mieście, rozplakatował tamtejsze postanowienia karne przeciw szpiegostwu. Uznano to za chęć odstraszenia ludności od przysług dla armii austryackiej i dopatrzywszy się w tem niechęci dla Austryi, usunięto niebezpiecznych ludzi. P. Herold był zatrudniony w Komendzie uzupełniającej w Botenwald, gdzie wykryto niedozwolone praktyki celem uwalniania powołanych od służby wojskowej i pozamykano wszystkich.

W lutym wypuszczono go nawet bez rozprawy na front.

Przez kilka ~~dni na~~ tygodni należał do grupy ~~braci~~ mój młodszy kolega gimnazyalny p. Rojewski z Sosnowca. Wina jego była osobliwa. W Sosnowcu brakowało omasty, a z Śląska pruskiego tylko wojsko niemieckie mogło pociągać środki żywności. Dla cywilów Królewiaków było to stanowczo wzbronione. Prosił więc p. Rojewski niemieckiego podoficera, który się wybierał do Katowic po sprawunki, aby mu przywiózł masła i wędlin. A gdy prośby nie skutkowały, puścił się biedak na małe zmyślenie, mówiąc, że dla austryackiego oficera (czem nie był) możnaby przecież tę grzeczność wyświadczyć. Ów podoficer powiedział kapitanowi, że p. Rojewski jest oficerem, a kapitan doniósł do komendy, że jakiś oficer, który niema jeszcze 60 lat, chodzi jako cywil po świecie. I tak człowiek, który raz chciał być chytrym, nie dostał omasty, a przesiedział kilka tygodni w śledztwie, zanim się sprawa wyjaśniła. Był też socyalistyczny podurzędnik kolejowy, a nawet redaktor jakiejś zawodowej gazetki z Przemyśla p. Liebert, którego aresztowano, gdy uszedł z twierdzy ewakuowanej, jako podejrzanego o szpiegostwo i dezercyę, ale po kilku tygodniach z Kory wypuszczono. Był też i jeden rzemieślnik z Bochni, również niewinnie przetrzymany. Wogóle najniewinniejszy człowiek, gdy się dostał do Kory w śledztwo, musiał odsiedzieć najmniej miesiące, zanim śledztwo zawieszono.

A do Kory mógł dostać się każdy. Lekarz powiatowy Dr. Hrstka z Mährisch Schönberg siedział prawie dwa miesiące, bo żandarm powiatowy, mając do niego urazę, zadenuncyował go o wszystkie gardłowe zbrodnie. Stał więc biedny krajsfizyk pod sądem doraźnym, a potem pod dochodzeniem, zanim rozprawa wykazała jego niewinność. Jak się później z gazet dowiedziałem, wachmistrz żandarmeryi za to oszczerstwo dostał ciężkie więzienie. Tymczasem jednak Dr. Hrstka miał kilka miesięcy takich, gdzie czując się niewinnym, sposobił się jednak na śmierć

Przeważnie jednak sprawy nie kończyły się tak lekko. Chodził przez krótki czas młody, średniego wzrostu i wątłej budowy, ale sympatyczny i inteligentny Czech redaktor Kotek z Ołomuńca czy Prościejowa. Ten ożenił się przed wojną, a bojąc się rozłączenia z żoną i śmierci w polu, postanowił zasłużyć na więzienie i w więzieniu przebyć wojnę. Wystudiowawszy wojenne rozporządzenia karne, pojechał na wieś na jakieś posiedzenie i tam wygłosił karygodne słowa, tak wedle jego zdania obmierzone, aby zasługiwały tylko na kozę. Tymczasem sąd ujrzał w tych jego słowach zbrodnię główną i skazał go na śmierć przez powieszenie. Biedna żona biegała, prosiła, włóczyła się u nóg komendantowi – zaczem ułaskawiono męża od stryczka, ale skazano na rozstrzelanie. Wyraźnie w ogłoszonym wyroku nazwano tę zamianę ułaskawieniem. I został biedak rozstrzelany pod naszemi oknami, a nieszczęśliwa żona, która stała za bramą na ulicy, padła bez zmysłów na odgłos salwy karabinowej.

Chodził też młodzieniec wysokiego wzrostu, w sztylpach, w płaszczu gumowym i dżokiejce, zamknięty w sobie, ~~o którym~~ a mówiono o nim, że ma być członkiem ochrany. Trudno mi było w to uwierzyć, patrząc na twarz, prawie piękną. Pociągła i drobna, smagła, z kształtnym, choć dużym orlim nosem, pod którym ledwie zaczął siać się czarny wąsik, o czarnych oczach, patrzących zawsze poważnie i wprost. Było w tej powadze spojrzenia coś osobliwego u tak młodego chłopca: można było domyślać się albo służby dla jakiejś idei i rezygnacji wobec niepowodzenia, albo też wypalenia się wszystkich lepszych ludzkich instynktów, a nawet strachu przed śmiercią, nawet chęci do życia.

Młodzieniec ten, nazwiskiem Pilczowski albo Piliczowski, rodem z Łomżyńskiego został rozstrzelany wskutek oskarżenia swego towarzysza więziennego, niejakiego Zygmunta Baara. Baar zeznał pod przysięgą, że Pilczowski namawiał go do wstąpienia do ochrany. Widocznie i sąd coś w tej sprawie czuł niesamowitego, skoro w ogłoszonym krótkim

wyroku powołuje się wyłącznie na świadectwo Zygmunta Baara. Między więźniami różne były o tem zdania. Przeważała opinia, że Pilcrowski był okazem zwyrodnienia, wyprodukowanym przez system rosyjski, że poprostu nie miał nerwu i zmysłów dla etyki, skoro będąc z domu zamożnym, przystał do ochrany. Opowiadano, że z cynizmem, nie odczuwającym głębi swego upadku, iż jako przed sądem przyznał się do swego charakteru agenta ochrany, a gdy mu przed oczy stawiano wstyd i hańbę, spadającą stąd na Polaka, odpowiedział, że jeśli w Austryi szanuje się Polaków, służących austryackiemu państwu, to powinno się szanować i jego, że jako Polak rosyjski obywatel służył państwu rosyjskiemu.

Te i tym podobne wersye krążyły między więźniami, otaczając postać Pilcrowskiego ~~zgro~~ murem zgrozy i obrzydzenia. On czuł to swoje osamotnienie, ale patrzył na wszystko z politowaniem i wzgardą. Mnie to panowanie jego nad sobą tak uderzało, że nie mogłem uwierzyć w jego zgniliznę i przypuszczałem jakąś tajemnicę. Był mi za młody na tak bezdenny upadek. Wszelako nie zamieniłem z nim nigdy ani słówka, ulegając powszechnemu wzdryganiu się przed zbliżeniem się do niego. I za to, że był taki w sobie zamknięty, widziałem nazajutrz ~~szczery~~ po egzekucyi szczery żal u wszystkich, gdy patrzyli przechodząc na miejsce tracenia, na którem wczoraj rozstrzelano Pilcrowskiego.

Za to Baar był w opinii potępiony. Opowiadano, że mieszkając w jednej celi z Pilcrowskim wypytywał go, jak można dostać się do ochrany, co mu tamten wyjaśniał. Następnie, udając, że zamierza przystać do ochrany, pytał o osoby, do których trzeba mieć polecenie i czy Pilcrowskiego rekomendacya wystarczy. Na potwierdzenie pytał dalej, czyby mu Pilcrowski zechciał dać takie polecenie, a gdy ten się zgodził, zgubił się. Nie wchodząc w wartość Pilcrowskiego, więźniowie uważali postępowanie Baara za godne agenta prowokacyjnego, co Niemcy znakomicie oddają przez Lockspitzel i uważali ogłoszony wyrok za równoczesne napiętnowanie Baara przed światem przez sam sąd wojenny.

Nie spacerował z innymi, ale w pogodny dzień wystawał pod ścianą przez cały czas trwania przechadzki Abraham Schimmel z Tęgoborzy w sądeckiem. Był to żyd ponad 50 lat, chociaż bynajmniej nie siwy, poważny i sympatyczny. Dobrze rozwinięty barkami przypominał żydowskich tragarzy od ciężarów - wogóle zaś wyglądał na pachciarza lub lepszego domokrążce. Pomarszczona twarz jak gotowane jabłko nie dawała wrażenia zgrybiałości wskutek rozrosłych bark ów i ciemnej barwy włosów, brody, oraz skromnych pejsów.

O nim opowiadano, że był czy właścicielem czy dzierżawcą folwarku, kiedy oddział rosyjski napadł na dwór. Dowódca, przyłożywszy mu lufę rewolweru do piersi, rozkazał stanąć nad drogą i pilnować, a gdyby szła patrol austryacka, zawczasu ostrzedz Rosyan, aby uciekali. W razie nieposłuszeństwa zagrożono mu śmiercią zabiciem dzieci i spaleniem dworu. Żyd rozkaz spełnił, Moskale się wymknęli, ale chłopi go oskarżyli, więc się dostał do więzienia pod zarzutem szpiegostwa i szkodzenia armii austryackiej.

Gadywano z nim, ale widziałem, że ilekroć ktoś do niego przemówił, on odpowiadając jęczał. Więźniowie różnie rozpatrywali jego sprawę - przeważało jednak zdanie, że będzie zasądzony na więzienie, bo sąd uwzględni jego obawę o życie własne i rodziny, a odrzuci zarzut szpiegostwa, skoro trudno przypuścić, żeby jakikolwiek żyd austryacki sprzyjał Moskalom i chciał się im z dobrej woli wysługiwać.

Nareszcie odbyła się rozprawa, Schimmla skazano na śmierć i rozstrzelano. Zatwardziała straż więzienna ze śmiechem opowiadała, jak po odczytaniu wyroku zaczął łamać dłonie, podskakiwać w celi i głośno wołać; jak później chwytał żołnierzy pod nogi i żebrał o życie, jak prowadzony na miejsce tracenia, ciągle wykrzykiwał: „ajwaj waj, aj waj waj", jak potem nie chciał ustawić się pod słupkiem, zaczem feldwebel Brunner skrępował go i do słupka przywiązał. Odtąd wszyscy żydzi, a siedziało ich zawsze wielu w więzieniu, otoczyli Brunnera jakoby

klątwą za to, że współwyznawcę zdradził dobrowolnie, choć tę służbę mógł inny uczynić.

Innych straconych nie zapamiętałem wśród tłumu, więc ich nie opiszę. Jakiegoś rzemieślnika z Przywozu (Oderfurt) nazwiskiem Matejko, Czecha, skarano za obrazę majestatu. Opowiadano, że księdza z celi wyrzucił, że idąc na miejsce tracenia, przyspieszał pochód i że tak w drodze jak przy słupku miotał urągliwe słowa na cesarza, państwo i wojsko. Wielu traconych zauważałem po raz pierwszy, gdy już ich prowadzono na miejsce egzekucyi. Być może, że siedzieli do czasu rozprawy w więzieniu Oderschadt.)

Jeżeli ~~rano była~~ zbliżała się pora spaceru, a było znośnie na świecie i mimo to na przechadzkę nie wzywano, znak to był, że czekają na potwierdzenie wyroku przez Komendanta i że będzie egzekucya. Wprawdzie było zakazane więźniom wspinać się do okien i wyglądać przez kratę na wykonywanie wyroku, ale z początku nie pilnowano tego zakazu. Dopiero później, gdy się na dziedzińcu pod oknami rozległy odgłosy miarowych żołnierskich kroków, jakieś wyjaśnienia, przygotowania i komendy, klucznik odmykał drzwi i zapowiadał: „In einer halben Stunde findet eine Justifizierung statt. Fenster zumachen, nicht hinausschauen!"

Zamykano więc okna, delikatniejsi wciskali się w kąty, niektórzy wkładali palce w uszy i ciągle pytali towarzyszów: czy już? W oczekiwaniu biły serca, bladły policzki, a czas wlókł się niepomiernie długo. Nareszcie odzywał się trzask, jakoby kto laską po sztachetach przejechał: egzekucya skończona. Więźniowie porzucali swoje strachowe pozycye, a już słychać było turkot karetki, zajeżdżającej po zwłoki. Ceremonię strzelania opisałem w zapiskach, czynionych w więzieniu, więc tu jej powtarzać nie myślę.

Strzelano nieregularnie: czasem dzień po dniu, a czasem mijały tygodnie bez egzekucyi. W takich przerwach więźniowie nabierali otuchy-

niby wtajemniczeni opowiadali, że z Wiednia przyszła wskazówka, nakazująca ograniczenie rozlewu krwi i zmniejszenie surowości, ale wnet nowa zapowiedź „einer Justifizierung" przerywała marzenia i kazała każdemu stawić sobie pytanie: „A może i na mnie przyjdzie kolej niebawem?"

Raz było kobiet, zwłaszcza inteligentnych kilkadziesiąt w więzieniu. Gdy rozległ się łoskot salwy, na wszystkich piętrach krzyknęły kobiety jak na komendę i cały budynek więzienny wydał tak przeraźliwy pisk i jęk, że tego krzyku do końca życia nie zapomnę. Mam go w uchu i często mnie w nocy budził. Krzyk nie do opisania i nie do opowiedzenia: rozdzierający, straszny, rozpaczliwy. To bezsilna ludzkość protestowała przeciw nieludzkości.

Chodziliśmy więc na spacery, które w trzeci dzień po egzekucyi bywały już swobodne i wesołe. O czem mówiliśmy? O polityce a raczej o strategii przedewszystkiem, chociaż te rozmowy były najsurowiej zakazane. Ci, którzy pobierali gazety, udzielali innym nowin i wyciągało się wnioski. Był to czas, kiedy armia austryacka stała nad Dunajcem, była wyparta z Serbii, a Niemcy od Iwangorodu uciekali gdzieś nad Wartę czy Nidę. Więźniowie wszyscy oczekiwali klęski i w klęskę tylko wierzyli. Obawiano się napadu Włoch i głodu. Za możliwością głodu przemawiał zakaz wypiekania bułek, pogorszenie jakości naszego chleba i zmniejszenie nam porcyi.

Straż nasza więcej jak przez miesiąc chodziła uzbrojona w stare karabiny Wernella i nie miała bagnetów. Ten widok wskazywał, że uzbrojenie już się wyczerpało.

Opowiadano też o sobie, za co kto siedzi i jaki może być wyrok. Stale wracała na usta sprawa amnestyi. Zapowiadano amnestyę na gwiazdkę, na Nowy Rok, na urodzenie się syna u następcy tronu, na św. Józef, na ~~wie~~ wielkanoc, na rocznicę wypowiedzenia wojny, na cesarskie urodziny i imieniny.

Gdy się udał atak nad Dunajcem, gdy odebrano Przemyśl, Lwów, gdy zabrano Warszawę, więźniowie sarczeli, że każdy z tych wypadków ciągnie za sobą amnestyę. Wyszukiwano przyczyn i łudzono się nadzieją. Powoływano się na przykład Niemiec, które od początku wojny do zimy ogłosiły dwie amnestye. Nieszczęśliwcy wierzyli w tę amnestyę, jak bankrut w loteryę.

Ja jeden nie miałem żadnych złudzeń. Widziałem, że taki jest system rządzenia, że karne rozporządzenia wojenne wydano po to, aby mieć możność masowego tracenia ludzi, więc się amnestyi nie wyda, jeżeli się czuje potrzebę terroru i krwawych rządów. Gdyby mniemania niektórych optymistów były uzasadnione, to jest, gdyby rząd przeląkł się tego ~~można krwi~~ krwi rozlewu jaki sprowadziły zbyt srogie rozporządzenia i chciał nawrócić z drogi, to miał znakomitą sposobność wydania amnestyi 2. grudnia, jako w rocznicę wstąpienia cesarskiego na tron. Skoro ta data minęła, ~~to~~ bez ulgi, uważałem, że tracenie ludzi leży w systemie rządowym i że na amnestyę można liczyć najwcześniej przy zawarciu pokoju.

Moje zdanie okazało się trafnem.

Obserwowanie nieznanych współtowarzyszów grało podczas tych przechadzek także swoją rolę. Najlepszy przegląd miało się podczas często powtarzanych apelów. ~~Ale~~ Nie wszyscy bowiem więźniowie korzystali z możności spaceru. Byli wstydliwi, którzy jak np. mój kompan Przewoźnik nigdy nie pokazywali się publicznie. Do apelu jednak musieli wszyscy stawać. A apel urządzano przedewszystkiem wtedy, kiedy wykazy kluczników z poszczególnych piąter nie chciały zgodzić się z obliczeniami w kancelaryi. Przy ciągłych wysyłaniach nadwyżki na Oderschacht, przy codziennych przybytkach i ubytkach wskutek uwolnienia, śmierci gwałtownej, odsyłania zasądzonych do różnych krajowych więzień, takie niezgodności liczb musiały się zdarzać. Ogłaszano więc ogólną zbiórkę na dziedzińcu. Wychodzili wtedy i codzienni spacerowicze i wstydliwi, którzy się w celach kryli, i ordonanse, którzy

biegając cały dzień nie potrzebowali przechadzek i więźnie z kuchni, i więźnie z kancelarii, którzy udawali zwierzchność za to, że siedzieli przy profesie – nawet pomocnicy z łaźni: każdy, kto siedział w więzieniu, musiał się stawić, z wyjątkiem naturalnie oficerów. Do apelu musiały ~~się~~ stawać i kobiety, które z resztą chodziły na spacer o innej godzinie niż mężczyźni.

Co za mieszanina! Wśród mężczyzn prawie połowę czynili żołnierze od feldwebla w dół. Szarżowie ci trzymali się kupy i okazywali, że biorą sobie lekko ten apel, urządzany przez szarże może niższe od nich w godności. Żołnierze bez gwiazdek tworzyli olbrzymią większość umundurowanych, a składali się z wszystkich rodzajów broni i umundurowania. Zdarzali się między nimi także łańcuchowi, to jest ludzie, mający łańcuchem spętane nogi. Łańcuch był długi na szerokość kroku i ażeby się podczas chodu nie wlókł po ziemi, był w środku uwiązany na sznurku, który więzień musiał trzymać w ręce i tak swoje pęto podnosić ponad błoto dziedzińca. Ogólne wrażenie z żołnierskiej części więźniów było krótkie: brud, niechlujstwo.

W cywilach jeszcze większa rozmaitość. Wyróżniały się nieco dwie grupy: intelligentów i żydów. Żydzi chałaciarze, w kapeluszach pilśniowych lub kaszkietach rosyjskich wyglądali w więziennem zaniedbaniu jeszcze brudniej niż zwykli chałaciarze domokrążcy. Intelligenci wyglądali pstro: ja w mojem futrze o spłowiałym wierzchu nie czyniłem wrażenia najwyższej godności cywilnej, jaką mieści kryminał: ratowała mnie trochę delikatna Skrzyńska czapka. Najokazalej wyglądał pan Kiersznowski. Przenosząc głową otoczenie, nosił wielką czapkę z siwego baranka, na mrozy świtę szlachecką, skrojoną w kształt czamary, a obramowaną siwym barankiem, zaś w dni cieplejsze zieloną marynarkę turystyczną, nienagannie sprasowaną i takież rajtuzy, zawsze zaś niepokalane sztylpy z żółtej skóry i żółte amerykańskie trzewiki.

Większość cywilów stanowili jednak ludzie nie z warstwy intelligentnej. Chłopi, rozmaicie ubrani, przeważnie w stare „oberki," kożuchy, zniszczone płaszcze wojskowe, robotnicy, rzemieślnicy

w potarganych i nieczystych ubraniach tandetnych, biedota i opuszczenie. Czasem zawadził się rosyjski żołnierz w jakimś szynelu glinkowego koloru z czerwonymi naramiennikami o żółtych znakach — jednem słowem pstrocizna brudu. Byli w tem głuchoniemi, włóczęgi, waryaci, kalecy bez nóg, byli ludzie bosi, bez koszul, którzy dygotali z zimna: krótko cała nędza fizyczna i moralna odprawiała tam rendez-vous.

Kobiet zawsze było mniej niż mężczyzn, to też różnica zarysowywała się jaskrawiej. Były damy i panienki salonowe, kokoty o krzykliwych strojach, tłuste kumoszki małomiejskie i poczciwe wiejskie gosposie, były też żebraczki, włóczęgi i waryatki.

Z kobiet zapamiętaliśmy pannę Bożenę Marek, córkę krociowego fabrykanta, wiotką i piękną o tak bujnych włosach, że warkocz spuszczony na grzbiet sięgał jej daleko niżej za kolana. Była również oskarżona o zdradę główną i stała pod sądem doraźnym, ale dość szybko wypuszczono ją z więzienia.

Gdy więc ta mieszanina stanęła na dziedzińcu, kazano tworzyć pary i ustawić się w dwurząd, a kobiety na prawem skrzydle. Czasami było nas tyle, że cały dziedziniec otaczaliśmy nieprzerwanym wiankiem dookoła, upominani ostro, aby się „dekować".

Przy takiem „dekowaniu" dawano nam rozmaite pouczenia. A więc nie wolno szlafkameratowi ukraść chleba, szczotki lub szuwiksu. Nie wolno do klozetów używać ani papieru, ani nawet słomy, bo się rury zapychają. I wiele tym podobnych pouczeń. Na początku wręczono każdemu nici czarne i białe, kilka igieł, mydło, szczotki i pouczono, że trzeba guziki przyszywać i buty „pucować".

Najczęściej jednak, ustawiwszy dwurząd i skontrolowawszy, że się wszyscy „dekują", zaczynano obliczenia, siekąc każdego stojącego w pierwszym szeregu w ramię, ale i te obliczenia powtarzano czasem kilka razy, bo jakoś każdemu rachującemu wypadała inna liczba.

Najosobliwiej urządzał apele trzeci sztabsprofos. Kazał podwładnym

naprzód przygotować caVrè, a potem sam z budynku objawiał się na dziedzińcu. „Habt Acht" krzyczeli feldweble i cugsfirery, poczem zwracali twarze ku drzwiom, z których wychodził sam majestat sztabsprofosa. Tylko szekspirowscy królowie pojawiają się w takim majestacie, poprzedzani głosem heroldów i trąbami surmaczy.

Zsiadłszy mijdzy czworobok pan sztabsprofos odczytywał befel zarządu więziennego, mocą którego ten a ten więzień za nieposłuszeństwo wobec klucznika, lub wobec eskortującego żołnierza, albo też za kradzież, za wylanie niesmacznej zupy do klozetu, za bójkę z kamratem został ukarany siedmioma dniami odosobnienia, twardem łożem, postem i „anbinden." Popisano Koszütski Rittmeister. Do tego Tagsbefehlu dołączał pan sztabsprofos wymowne kazanie na temat, że „wer sich tierisch benimmt, muss als Tier behandelt werden" itp, poczem zwracając się do feldwebla powiadał: „Sagen Sie es den Leuten in ihrer Muttersprache." A chociaż 80% więźniów, jako że to korpus krakowski, było Polakami, to jako Muttersprache uchodziła czeszczyzna, bo pan Oberjäger Czizek był Czechem. Próbował pan sztabsprofos zaprowadzić i polszczyznę, ale nie było tłumacza, bo feldwebel Brunner oprócz „psiakrew" nie umiał po polsku. Dopiero w lecie dostał się tam Regimentswachmeister Kobyłecki z Borzęcina, który po polsku także tłumaczył, ale wedle tradycyi wojskowej, dla nadania sobie powagi egzotyczności, pokrzywił polskie wyrazy ku czeszczyźnie, a tak czeszczyzna była i jest w wojsku „die slavische Muttersprache."

Zbieranina więźniów nastręczała rozmaite uwagi. Biednego chłopa bez nóg o dwóch kulach chodzącego uznali więźniowie za niebezpiecznego dezertera. Gdy raz znalazło się równocześnie kilka kobiet, karmiących niemowlęta, uznaliśmy kryminał za szpital dziecięcy. Jest rzeczywiście nierozum ze strony władz politycznych, że włóczęgów, pijaków i kaleków oddają do więzienia polowego,

gdzie ci biedacy muszą aż do rozjaśnienia sprawy siedzieć przez kilka tygodni. Nazwaliśmy też więzienie Versorgungsanstalt, Erholungsheim, Ammenheim, Sanatorium i ćwiczyliśmy języki na tych dowcipach.

Tak przeszło życie na spacerach i apelach poza celą. W celi zaś gazeta pomagała do zabicia czasu. Pobierałem „Kuryer polski" i „Ostrauer Zeitung." Zatrudniony w Kancelaryi jako inwalida nauczyciel Raszka dawał mi przeczytaną „Nową Reformę."

Mieliśmy jeszcze inną lekturę. Dr. Stiasny, również przez jakiś czas przydzielony do Kancelaryi pożyczył mi „Schillers Gedichte." Panu Blechowiakowi przywiozła żona trylogię Sienkiewicza, która też krążyła po kryminale jak żadna inna książka.

Nareszcie wyznaczono dla Pospieszila rozprawę gdzieś na połowę stycznia. Przez kilka dni opracowywaliśmy wszystkie możliwe zarzuty i odpowiedzi na nie, a on sobie spisywał, aby samemu je wygłosić albo też dać adwokatowi. W sam dzień rozprawy byliśmy już wcześnie gotowi, bo termin był wyznaczony na ósmą. Przyniesiono białą kawę z Kantyny, Pospieszil pił ją chodząc, my z Przewoźnikiem siedzieliśmy. Wreszcie wstał i Przewoźnik. Otwarły się drzwi i zajrzał do nich Klucznik wraz z jakimś ~~nowym~~ nieznanym wojskowym. Trudno było poznać jego godność, bo był ubrany w szarą polową pelerynę, która kryła kutas od szabli – kołnierz okrył szarym szalikiem jak w polu, a czapkę szarą miał krojem żołnierskim uszytą, chociaż rozeta wyglądała w mroku na oficerską.

Nowo przybyły ostro popatrzył do celi, rzucając groźnie oczyma, wreszcie wrzasnął: Aufstehen! i wpadł jak wściekły do środka. Nie rozumiałem o co chodzi, gdy on już był naprzeciw mnie, pianą sypał z ust jak trociny i po prostu przebijał mnie na wylot rozszalałemi oczyma. „Wenn der Vorgesetzte eintritt, muss sich alles erheben und ehrfürchtige Habt Acht Stellung einnehmen. Sie können im Zivil sein, was Sie wollen, hier sind Sie nur ein Häftling, ein Verbrecher, ein dem Vorgesetzten untergeordnetes Wesen" itd. Ja już dawno sta=

łem, a on pienił się i krzyczał dalej. Nie widział, czy przedzielony od niego stołem, mam ręce w kieszeniach czy po lędźwiach, więc znowu przypadł i patrzył szukając dłoni moich oczyma – wreszcie zwrócił się do klucz=nika, krzycząc, że w więzieniu porządku nie ma, bo więźniów nie pouczo=no, jak się mają zachować wobec przełożonych i jakie im oddawać honory. Pieniąc się i miotając, spostrzegł pod piecem dwie próżne flaszki z piwa, więc pasya jego nie miała granic. Odwrócił oczy białkami, wrzeszczał w niebogłosy, że to nie jest Wirtshaus, że on musi lepszy rygor wprowadzić i podniecając się własnym krzykiem, zaczął kopać, przewrócił flaszki, przewrócił wreszcie spluwaczkę, z której ~~po~~ woda zalała pół podłogi i wyleciał jak waryat. Długo jeszcze słyszeliśmy jego wrzaski w innych celach – wreszcie po jakiej pół godziny odszedł z naszego piętra.

Pospisil poszedł do sądu, zostaliśmy obaj z Przewoźnikiem. Przez cały dzień nie odezwałem się ani słowem do nikogo, przetrawiając swoją bezsilność wobec jakichś dzikich bestyj, jakoby dopiero co spuszczonych z łańcucha.

Przewoźnik zapytał klucznika, coto za gość i dowiedział się, że to jest nowy sztabsprofos, bo nasz pijak odszedł na ponowną emery=turę. Nazajutrz na spacerze opowiadano, że w innych celach, gdy tylko drzwi się otwarły, wchodząc wyzywał: Ihr Verbrecher, Ihr Vaterlandsverräter itd. Zaglądnął wczy do jakiegoś oficera, zażą=dał od niego, aby wstał przed przełożonym. Ale oficer powsiadł na niego jako na podoficera, zwyzywał od durniów, bagaży i kazał się precz wynosić.

Tak wprowadził się w urzędowanie nowy sztabsprofos. Trochę inaczej wchodzili w urzędowanie nowi profesorowie w szkole, albo nowi ministrowie w parlamencie.

Wkrótce jednak pan sztabsprofos zmienił trochę ton ~~prze~~ wobec więźniów, bo oficerowie przedstawili zażalenie przed rotmistrzem. Za to zgnębił kluczników z prawdziwą pasyą, bo tym skarżyć się nie wolno, tylko przełożonego słuchać.

Wreszcie wrócił Pospisil z rozprawy, jako uwolniony od winy i kary.

Dano mu obrońcę z urzędu, wiedeńskiego adwokata Dra Grünfelda, który odbywał służbę wojenną jako oberleutnant auditor. Pospisil przed samą rozprawą zaledwie w sali mógł się nieco z obrońcą porozumieć i dał mu swoje notatki, a gadając bezładnie wspomniał, że oskarżyciel i świadek koronny Nakonieczny jest Rusinem, choć się podaje za Polaka. „Das ist sehr wichtig" powiedział Dr Grünfeld i usiadł za stołem obrony.

Stanął więc Nakonieczny i podawał swój rodowód, który poprzednio już był podał przy protokołowaniu zeznania.

Już przy tym punkcie Dr Grünfeld poprosił o głos i zaczął stanowczo się domagać oświadczenia, czy Nakonieczny jest religii rzymskiej czy greckiej. Zmieszany świadek przyznał, że należy do grecko katolickiego wyznania, a jeżeli przedtem podał inaczej, to tylko dlatego, że mu się to zdawało wszystko jedno. Ta sama dyskusya powtórzyła się przy oznaczeniu narodowości Polak, czy Rusin – Nakonieczny stracił pewność siebie, a Dr Grünfeld stał się coraz złośliwszym. Przez rozmaite pytania tak świadka zmieszał, że ten wszystkie swoje doniesienia zmieniał, uzupełniał, przeinaczał. Gdy odczytane z protokołów zeznania innych świadków brzmiały dla oskarżonego korzystnie, a świadek koronny okazał się niewiarogodnym, sąd wydał dla Pospisila wyrok uniewinniający.

Ale wyrok sądu nie jest miarodajny. Wedle prawodawstwa wojennego właściwym sędzią jest Komendant, a sąd rozpatrujący jest tylko jego ciałem doradczym, wyrok zaś tylko opinią doradców. Pospisil jako uwolniony siedział jeszcze 11 dni w Kozie, zanim komendant wyrok sądu podpisał, a formalności tyczące się uwolnienia zostały przeprowadzone.

Przez pierwsze dwa dni po wyroku stałem się przedmiotem podziwu i uwielbienia u p. Pospisila. Podziwiał mój węch etnograficzny, przy pomocy którego na podstawie tylko opowiadania wyróżniłem i wyczułem Rusina. Dziękował za to podsunięcie, aby zaczepić wiarogodność świadka, które adwokat uznał za bardzo ważne i znakomicie wyzyskał. Uznawał mnie za niezwykle wielkiego mędrca. To

trwało całych dwa dni. Powoli jednak, gdy się uwolniony oswoił ~~ze swo~~ z brakiem grozy nad głową, zaczynał przybierać minę mędrca i protektora wobec nas, którzy musieliśmy nadal zostać w kozie. Jemu oczekiwanie wypuszczenia było nieznośnem, ale i nam trwało za długo. Nie dziwilibyśmy się, gdyby koledzy dla pozbycia się go nawet go oczernili, bo był naprawdę nieznośny. To też gdy nadszedł dzień, gdzie go puszczono na wolność, pożegnaliśmy się nader ozięble, ale z radością w sercach, że to przymusowe towarzystwo już się kończy. Naturalnie mimo przyrzeczeń, że nam doniesie o sobie, p. Pospisil po wyjściu z więzienia nie dał żadnemu z nas znaku życia.

Przykra scena ze sztabsprofosem i uwolnienie Pospisila musiały mnie naprowadzić na rozważanie mojego losu. Protokół wigilijny wydawał mi się zakończeniem śledztwa. Co ludzki dowcip mógł wymyślić na moje obciążenie, wszystko było wyszukane i wyzyskane. Zapewne więc zaczyna się wygotowywanie aktu oskarżenia.

Przeciw komu będzie wymierzony? Przeciw mnie samemu? To byłoby wprost śmieszne. Za cały czas obowiązywania rozporządzeń wojennych nie wyszukano u mnie nawet cienia niepoprawności. Przecież nie będą mnie sądzić za wynurzenia gazeciarskie, które przed wojną jedyna władza kompetentna to jest prokuratorya uznała za niepodlegające zarzutom.

Zaczem akt oskarżenia może być wymierzony tylko przeciw stronnictwu, ze szczególnem uwypukleniem osób czynnych przy rozwiązaniu wschodniego legionu. Mogą przy tem uznać, że moja działalność wiecowa, organizacyjna i gazeciarska przygotowała podłoże i nastrój dla tego rozwiązania i mogą mnie za to ogłosić najwinniejszym, moralnym sprawcą, ale sądzić mnie samego bez innych nie mogą.

Licząc, że akt oskarżenia jest w robocie, oczekiwałem codziennie, że dostawią tutaj Głąbińskiego, Skarbka, Cieńskiego i innych. Szukałem ich w zakratowanych oknach, pytałem się nieraz o osoby, które w przyroście przybyły, ale żadnego więcej posła nie było w kozie.

Czasami myślałem, że proces toczyć się będzie w Wiedniu, bo tam są moi Koledzy. Śledztwo ostrawskie byłoby więc tylko przygotowaniem jednego szczegółu, który pójdzie przed wspólny trybunał. Czekałem więc, kiedy mnie razem z moimi aktami odwiozą do Wiednia.

Ale dni i tygodnie mijały, a zmiana nie przychodziła żadna. Niektórzy świeżo przybyli więźniowie zapewniali, że tak Skarbek jak Cieński i Głąbiński są wolni i nikt ich nie myśli aresztować. Zachodziłem w głowę, dlaczego mnie specyalnie przypadł honor siedzenia w Kozie i jak długo to ma jeszcze potrwać?

Więc dochodziłem do przekonania, że rząd poprostu chce jakiegoś wszechpolskiego posła dla postrachu stracić, a że Skarbek jako hrabia i Głąbiński jako ekscellencya nie powinni być traceni w myśl szlachecko dworskich przesądów, przeto mnie wybrano na ofiarę w myśl hasła: ślusarz zawinił, a kowala powieszono.

A jeżeli tak, to teraz zapewne rozpisze się do wszystkich szubrawców konkurs premiowy na dostarczenie przeciw mnie zarzutów i dowodów winy. Im dłużej siedzę w Kozie, tem pewniejsza kara. Władze przecież nie przyznają się do tego, że niewinnego człowieka tak długo gnoiły w lochu, bo każdy im powie, że podczas wojny można wprawdzie każdego aresztować, ale gdy się jego niewinność wykaże, należy jak najspieszniej dać mu zadośćuczynienie i zwrócić wolność. Dlatego też, aby się nie nazywało, że posła trzymano niewinnie kilka miesięcy w kozie na stacie ostatniego zbrodniarza, byłem pewny, że przecież coś na mnie wyszukają, bo muszą mnie skarać.

W tem usposobieniu utrwalał się we mnie coraz więcej zamiar napisania listu do prezydenta ministrów hr. Stürgkha. Największą odpowiedzialność za tak długie trzymanie mnie w więzieniu zwalałem na rząd. Generalny sztab, skoro dostał denuncyację, musiał mnie aresztować, bo to jego obowiązek wobec powierzonej mu armii. Ale rząd, gdy zobaczył, że aresztowano posła, powinien był zasięgnąć informacyi. A gdy śledztwo stwierdziło, że w rozwiązaniu legionu nie brałem udziału ani wprost ani ubocznie, powinien był stwierdzić na podstawie mojej publicznej działalności, że o

o jakiemś zdradzieckiem usposobieniu u mnie nie może być mowy. Siedzę przecież dlatego tylko, że ciąży na mnie nieokreślony zarzut zdradzieckości.

Zamierzałem to hr. Stürgkhowi przedłożyć i pomódz jego pamięci. Więc naprzód rozprawy o traktacie z Rumunią, który był zapłatą za konwencyę wojskową, dla państwa potrzebną. Stapiński zobaczył w tym traktacie znakomity środek do wykorzenienia ze wsi wszystkich innych partyi, zjednoczonych w Kole i rozpoczął najzaleńszą agitacyę przeciw traktatom, jako zgubie ludności włościańskiej. Uprzedzenie i strach takie przybrały rozmiary, że Koło uchwaliło zostawić swobodę głosowania grupom, a grupy zgodziły się, żeby posłowie z gmin wiejskich, dla ratowania swojej popularności w okręgach głosowali przeciw traktatowi.

Wtedy ja podjąłem sam jeden walkę z korrupcyą polityczną w Galicyi. Na wiecach i w prasie ludowej biłem tak zawzięcie i skutecznie w tę nieszczerość, że rozpoczęta z wielkim tartasem akcya Stapińskiego, skończyła się marnie. Chociaż poseł włościański głosowałem publicznie za traktatem.

Przypominawszy ten epizod chciałem zapytać hr. Stürgkha, jak uważa, jakie motywy mogły mnę w tej akcyi kierować? Wygoda i dbałość osobista o popularność byłyby mi kazały płynąć z prądem, puszczonym przez Stapińskiego. O wysługiwaniu się wobec rządu nie mogło być mowy, bo znaczenie tej walki i zwycięztwa mógł ocenić tylko mój osobisty wróg namiestnik Bobrzyński, który miał tajne umowy ze Stapińskim i z pewnością okłamywał rząd o jego sile, a o mojej walce i nie wspomniał. Czy jest zdrajcą człowiek, który dla potrzeby państwowej puszcza na ryzyko swoją popularność, a moc i przyszłość polityczną, aby odnieść zwycięztwo, którego nikt nie raczy uznać, ocenić, nawet zapamiętać?

Potem chciałem mu przypomnieć walki o ustawy wojskowe z końcem 1912. roku. Dzisiejsi przyjaciele rządu socyaliści zrobili sobie najohydniejsze przedstawienie, bo pilnowali, żeby przedłożenie, przeciw któremu głosowali, zostało uchwalone, odkomenderowywali swoich członków za drzwi przy głosowaniu, ale za to

wygłaszali piorunujące mowy przeciw militaryzmowi i przeciw nam, którzyśmy wzmocnienie siły wojskowej państwa uważali za konieczne w danych okolicznościach. I znowu z starej grupy ja byłem członkiem komisyi wojskowej i czuwałem całemi nocami, żeby obstrukcyę ruską i czeską przełamać. Jako prezes stronnictwa wiedziałem, że socyalistyczne ataki będą specyalnie przeciw mnie zużytkowywane w gazetach i na wiecach, ale znowu wolałem stanąć na wyłomie niż dać się zastąpić przez innego członka stronnictwa.

Czy więc człowiek, który w czasach spokojnych, kiedy wygoda, łatwość agitacyjna, publicystyczna frazeologia, jednem słowem wszystko zachęca go do opozycyi, kiedy opozycya przeciw rządowi, trzymającemu namiestnika Bobrzyńskiego, jest jego programem partyjnym – który mimo to wszystko umie rząd oddzielić od państwa i za konieczności państwowe nadstawia karku, czy taki człowiek nosi w sobie zdradzieckie usposobienie wobec tegoż państwa?

Potem chciałem mu przypomnieć posiedzenie prezydyów klubów antiblokowych sejmu u niego w sali posiedzeń rady koronnej, a wreszcie moją i Głąbińskiego pracę w subkomitetach dla reformy wyborczej i wreszcie fakt, kiedy w mojem ręku w historyczny dzień posiedzenia sejmowego była cała reforma, kiedy się przeze mnie opóźniło otwarcie tego posiedzenia i kiedy namiestnik Korytowski konferował ze mną i telefonicznie z hr. Stürgkiem i kiedy ten hr. Stürgkh przysłał mi telegraficzne zobowiązanie rządu, niewystarczające dla mnie, a ja jednak reformę przepuściłem, bom widział niekorzyści wynikające dla państwa z powodu walk społecznych i narodowych w kraju pogranicznym – czy przez to wykazałem wrogie lub zdradzieckie usposobienie wobec państwa? A przecież udaremnienie takiej ordynacyi wyborczej, która Polaków osłabia, byłoby mi zjednało tylko ogromną popularność.

Taki memoryał układałem sobie, obmyśliwałem ciągle. Chciałem też napisać, że bynajmniej nie przypominam tych

rzeczy, żeby się z kozy uwolnić, przeciwnie, wiem, że jestem na śmierć przeznaczony i właśnie wszystkie władze pracują teraz nad tem, aby dla mnie skonstruować stosowną zbrodnię - ale jeżeli wolno życzenie wyrazić, to pragnąłbym, żeby mi już raz tę śmierć zadano. Wyrazić chciałem nadzieję, że może nawet i rząd uzna, że dwie kary za niepopełnioną zbrodnię to za dużo: gdy mnie na śmierć przeznaczono, nie powinno mi się przedtem wymierzać kary więzienia.

Chciałem przyspieszenia sprawy. Wyobrażałem sobie, że ten list powinien osiągnąć skutek.

Ale jeżeli siedzę nie jako wróg Austryi, ale jako wróg Prus na pruskie żądanie? W takim razie list jest beznadziejny, a może wyglądać na chęć wydobycia się z kozy przez protekcyę rządu. To mnie wstrzymywało.

Wstrzymywał mnie też i wzgląd na moich przyjaciół politycznych. Jeżeli ma być obwinione całe stronnictwo, to im większa liczba zasiądzie na ławie oskarżonych, tem bardziej będą się z wysokością kary liczyć. Wtedy i ci skompromitowani wyjdą lżej. Gdy się każdy, przypadkowo niezawikłany w ostatnie wypadki, usunie od ścigania, niejako wyrzecze owych kilku, to może na nich śmierć dla postrachu sprowadzić. Postępowania Skarbka nie mogę ganić i zdaje mi się, że gdybym był na jego miejscu, nie inaczejbym postąpił. Trzeba mieć odwagę nietylko własnych przekonań, ale i własnych uczuć.

W takim liście tkwi przecież chęć oczyszczenia się przez świadectwo rządu. Ja wolę to świadectwo zachować dla rozprawy, a momenta na moją osobistą obronę wychodzące rozszerzyć na całe stronnictwo.

Kiedy przy śledztwie sędzia mnie pytał o wyjaśnienie rzeczywistej przynależności partyjnej, nie mogąc się połapać, jak prezes stronnictwa chrześcijańsko ludowego może być narodowym demo-

kratę, poprosiłem o wciągnięcie do protokołu, że należę do „nationaldemokratische Partei." Wiedziałem, że popełniam nieścisłość, ale wolałem tę nieścisłość niż pozór jakobym chciał uciekać z zagrożonego okrętu. Przykro mi było zapominać o mojej ~~przyso~~ samodzielności, jeszcze przykrzej potwierdzać obraźliwy tytuł, dany mi przez sztab generalny: allpolnischer Agitator. Wyrzekając się samodzielności, temsamem stwierdzałem, że nie jestem przywódcą chrześcijańsko ludowego stronnictwa, lecz odkomenderowanym tam wszechpolskim agitatorem. Ale wolałem to niż wyjaśnienia, któreby ostatnim końcem wychodziły na wypieranie się moich przyjaciół politycznych.

Nie mogłem też takiego listu wysłać, bo mi sumienie mówiło, że wtedy zostałoby zaledwie dwóch, trzech oskarżonych i ci musieliby głowy stracić. A tak w najgorszym razie spadnie tuzin głów czy więcej, ale moja będzie w Kompanii.

Namyślawszy się ~~się~~ o tym liście przez kilka tygodni, mimo zachęty Przewoźnika nie napisałem go jednak. Zawsze mimo wszystkich wyrażeń wydawał mi się wyrzekaniem się Kolegów za to tylko, że byli w biedzie: pod wozem, nie na wozie. Skoro dzieliłem ich dobrą dolę, powinienem i w złej dotrzymać towarzystwa.

Pragnąłem bardzo choćby ubocznie coś się o nich dowiedzieć, ale naprożno. Do dzisia (1. listopada 1915) nic nie wiem o Skarbku. Głąbiński mieszka we Lwowie, więc chyba wolny.

Kiedy w Karpatach wojsko austryackie zaczęło Rosyan wypierać z Węgier, napisałem do Skarbka list, żeby jako wolny zaopiekował się moją matką i siostrą, bo zapewne będą niebawem uwolnione spod inwazyi. Chodziło mi o matkę rzeczywiście, ale myślałem, że gdy dostanę odpowiedź, naturalnie przychylną, będę wiedział, czy on siedzi, czy jest wolny. Odpowiedzi nie dostałem.

Podczas jednej lustracyi powiedział mi major auditor Bielski, że moja sprawa jest niezwykle zawikłana i że celem przyspieszenia

odebrać ją j. dotychczasowemu sędziemu, a innemu oddać. Uzbroiłem się w cierpliwość, wiedząc, że nowy sędzia będzie musiał długo ślęczeć nim pozna wszystkie moje akta.

Jednego razu, a było to już w środku lutego, wezwano mnie przed sędziego. Urzędował już w sądzie powiatowym, więc nie szliśmy przez ulice, tylko korytarzami. Mój sędzia zwał się Zegarac, za pewne Kroat i był kapitanem audytorem.

Wskazał mi inną izbę, a gdym tam wszedł, zastałem byłego posła Biesiowskiego. Zadrżałem. Co on tu robi? On tymczasem zaczął mnie wycałowywać: „Daj spokój - szeptałem przez zęby - jak zobaczą, żeś mój przyjaciel, pójdziesz do więzienia." Ale stało się. wycałował mnie chłopisko serdecznie.

Była to pierwsza wizyta, jaką miałem. Mimo, że zatrudnieni oficerowie słuchali naszej rozmowy, powiedział mi, że opowiadają, jakoby sprawa moja dobrze stała i kto wie, czy nie wyjdę na wolność.

odebrał je z dotychczasowego [illegible], a [illegible]
[illegible] się w [illegible], [illegible] tylko [illegible]
[illegible] długo [illegible] domu [illegible] wszystkie [illegible].
Jeszcze raz, a było to już w ostatnich latach, [illegible]
[illegible]. Urzędował już w sądzie powiatowym, [illegible]
[illegible], tylko Kobyłczanami. [illegible] żegnano, [illegible]
[illegible] i był Kapitanem [illegible].
Wołał [illegible] z daleka, a potem [illegible]
[illegible] Dzieszowickiego. [illegible]? [illegible]
[illegible] mnie wychłostywać, [illegible]
jak [illegible], iż mój przyjaciel [illegible] do więzienia." Ale [illegible] się
wyratował mnie [illegible].
Było to pierwsze [illegible], [illegible]
[illegible], [illegible]
jakoby sprawa moja dobrze stała!" Ale [illegible]
[illegible].